ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 2 (110) • Luty 2015 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Zakręceni

Oddajemy w Państwa ręce kolejny numer. Tym razem, z racji zbliżającej się gali i rozwiązania wyborów na Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2014, dużo o naszych lokalnych społecznikach, ale nie tylko. Społecznik to taki gatunek człowieka, który korzysta z oferty kulturalnej, ale także ma potrzebę bycia pożytecznym w swoim środowisku. Dlatego swoje siły i czas wolny poświęca na spotkania, zebrania, wizyty w rozmaitych archiwach, instytucjach i placówkach. Pisze, czyta, planuje i projektuje, odwiedza miejsca i ludzi ważnych dla danej sprawy. Często zmaga się z oporną materią i niesprzyjającym splotem okoliczności, przełamuje zwątpienie i czarnowidztwo, działa pod presją czasu i skromnych funduszy. Po drodze spotyka ludzi takich jak on - „pozytywnie zakręconych" na punkcie dobroczynności, dzielenia się pasją, propagowania kultury i wiedzy. Wraz z innymi tworzy sieć relacji opartych na zaufaniu i wzajemnej pomocy. W „zaklęty krąg" wciągają innych, budząc w nich potencjał, którego sami nie byli świadomi.

Obok typowych społeczników, na wysokich obrotach działają „zawodowo zakręceni" - i oni swój bagaż zawodowych doświadczeń i kompetencji ukierunkowują na dobro wspólne. Choć w pracy i często po godzinach robią rzeczy wielkie dla lokalnej społeczności.

Wyróżniając konkretne osoby, będące często „mózgiem" całej operacji, nie zapominamy o „koniach pociągowych" (np. wolontariuszach, sympatykach), bez których żaden najbardziej charyzmatyczny działacz, niczego by nie zdziałał. Bo aktywność na rzecz masowego odbiorcy wymaga pracy z podziałem na role i zadania. Bez dobrej woli i zaufania – nie do zrealizowania. Dlatego ludzie aktywni na scenie społecznej, nie będąc środowiskiem hermetycznym, często latami pracują we własnym gronie – sprawdzonym na niejednym polu walki.

Społecznym muszkieterom na ogół nie uderza woda sodowa do głowy, satysfakcja widzów, liczne grono korzystajacych z przygotowanej oferty, pozytywny odzew są wystarczającą zapłatą za poniesiony wysiłek. Myliłby się jednak ten, kto uznałby, że w tym miodzie nie ma dziegciu. Niestety, często między pochwałami pojawiają się zarzuty „że nie dość dobrze", „że za mało/ za dużo", „że można było jeszcze lepiej, jeszcze więcej" itp. „Dobrą radą" służą najczęściej ludzie, którzy działalność społeczną znają jedynie od drugiej strony – strony widza, czytelnika, odbiorcy. Zapominają, że z pozycji widza nie widać całej logistyki danego przedsięwzięcia. A szkoda, bo nie trzeba do tego wielkiej wyobraźni.

Warto pamiętać o tym, że dobre chęci czasami się wyczerpują, a walka z przybywającymi kłodami rzucanymi pod nogi w końcu każdego zniechęci. Aktywni znajdą sobie inne pole działania, nastawią się na swoje drobne przyjemności – możemy być pewni – nudzić się nie będą! Ale czy na pewno tego chcemy?

Joanna Sosa-Misiak

Walne Zebranie

5 marca 2015 r. o godzinie 17.00 w sali konferencyjnej Domu Nauczyciela Bacalarus odbędzie się coroczne sprawozdawcze Walne Zabranie członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.

Zapraszamy

Moja doba trwała 37 godzin

Pani Józefa Słomiany z dziećmi

Wielu mieszkańcom naszego miasta i okolicy znana jest postać pana Tadeusza Słomianego - wieloletniego pracownika służby zdrowia, pełniącego funkcję felczera. Zechciał on podzielić się z nami swoimi wspomnieniami, a życie miał ciekawe, chociaż niełatwe.

Urodził się 17 czerwca 1929 r. w Bolesławówce, gmina Mikulicze, powiat Włodzimierz Wołyński, jako 9 – przedostatnie dziecko Józefy i Jana. Żyją jeszcze jego dwie starsze siostry: Leokadia - rocznik 1923 i Władysława - 1927. Bolesławówka była kolonią polską z 24 numerami domów. Do najbliższych ukraińskich domów mieli 5 km, a 12 km do Buga. Naukę zaczął w szkole w Smołowej. Po śmierci ojca, zakażonego tężcem, w 1935 r. dziećmi zajmowała się sama matka. Mieli oni ok. 34 ha ziemi, w tym 4 ha lasu i 1 ha sadu owocowego. Byli stosunkowo bogaci. Rodzice przyjechali na Wołyń z Galicji, aby zdobyć sobie ziemię. Musieli najpierw wykarczować las. Wprawdzie mieli do pomocy w gospodarstwie parobka, ale i tak pan Tadeusz już od najmłodszych lat ciężko pracował. 9 koni i 18 krów wymagało obrządku. Już jako dziecko pomagał przy żniwach – powoził, siedząc na worku, końmi zaprzężonymi po trzy do tzw. „garściówki" - snopowiązałki czy siewnika. Z tamtych czasów najlepiej wspomina Święta Wielkanocne. Malowano pisanki woskiem i pisakiem zrobionym z pudełka po paście do butów. Wszyscy robili to wspólnie przy długiej ławie, przy której też jedzono.

PAŃSTWOWA SZKOŁA FELCZERSKA

DYPLOM.

Ob. ... urodzon... dnia ... 19... r. w ... powiat: ... odbył w latach 19... naukę w Państwowej Szkole Felczerskiej uzyskując wynik ogólny ...

Na podstawie ustawy o zawodzie felczera z dnia 20 VII 1950 r. Dz. U. Nr 36 poz. 336 ... prawo wykonywania zawodu ...

WICEDYREKTOR SPOŁ-WYCH. DYREKTOR SZKOŁY KIEROWNIK SZKOLENIA

dnia ... r.

Dyplom felczera z 1953 r.

W czerwcu 1943 r. cała rodzina uciekła z Bolesławówki, ponieważ bandy ukraińskie rozpoczęły, jak mówi pan Słomiany: „według listy", mordy na Polakach. Mieli na to przyzwolenie od Niemców. Jego kolega ze szkoły, Antoni Komczyński, został zamordowany. Razem ukrywali się w ziemiankach w sadzie. Pamięta sytuację z początku wojny, gdy dwaj uciekający przed Niemcami Uzbecy przyszli zza Buga do jego matki i klękali na kolanach, prosząc o schronienie. Słomiani musieli wprawdzie wszystko zostawić, ale udało im się uniknąć wywózki na Sybir. Ucieszyło ich to, ponieważ wiedzieli od brata ojca, który został wywieziony do Archangielska, jakie trudne są tam warunki życia. Cioteczną siostrę Ukraińcy postrzelili w drodze do kaplicy w sąsiedniej miejscowości. Po tym pan Tadeusz z matką i rodzeństwem uciekli do Włodzimierza Wołyńskiego do siostry matki. Zanim tam dotarli, nocowali u najbiedniejszej kobiety we wsi, na polu. Wyjechali ukryci na furmance pod snopkami słomy. Bolesławówka została spalona. Do zakończenia wojny mieszkali u ciotki, Karoliny Urbaniak, w domu, do którego powstania dołożył się finansowo ojciec pana Tadeusza. Nauka w czasie wojny była zakazana dla Polaków, więc nauczycielka o nazwisku Żak nauczała potajemnie. Później rodzina przeniosła się najpierw do Bielina - rodzinnej miejscowości ojca, potem do Brzezic koło miejscowości Piaski, do Dudków - rodziny szwagra. Do Brzezic dostali się wpław przez Bug, dalej szli 100 km piechotą. Jakiś czas mieszkali w budynku szkolnym. Okres okupacji minął im w miarę spokojnie. Pan Słomiany po wojnie kontynuował naukę w gimnazjum w Zamościu, dokąd wyjechał do zamężnej siostry Adeli. Nie ukończył tej szkoły, ponieważ w trakcie nauki wyjechał na obóz sportowy do Wrocławia,

Tadeusz Słomiany

Tadeusz Słomiany w wojsku

gdzie mieszkała jego siostra Władysława. Był on bardzo dobrym sportowcem, trenował biegi i wygrywał wiele zawodów. Jedną z nagród był mundur harcerski, ufundowany przez właścicieli cukierni w Zamościu. Dla pana Słomianego nie było jednak miejsca w przyrodniczym gimnazjum wrocławskim na ul. Poniatowskiego i został skierowany do Kłodzka. Potem kazano płacić za szkołę, a jego nie było na to stać. Chciał wyjechać przez Bystrzycę Kłodzką do Czechosłowacji, ale jego kolegom udało się go powstrzymać i powrócił do szkoły. W 1951 r. zdał maturę. Wyjechał do siostry do Ziębic. Znalazł pracę jako księgowy w centrali ogrodniczej. Potem, za namową kolegi, wyjechał do Krakowa na studia humanistyczne. Zdał egzamin, ale przeniósł się do Wrocławia i rozpoczął tam studia na filologii rosyjskiej. Nie skończył jej i w latach 1951-53 uczył się w Państwowej Dwuletniej Szkole Felczerskiej. Niestety, nie było go stać na studia medyczne. To były ciężkie, niespokojne czasy. Otrzymał dyplom i tym samym - prawo wykonywania zawodu felczera. Dostał przydział pracy w Złotoryi. I właśnie tu, jako felczer, stał się osobą rozpoznawalną, ogólnie szanowaną przez pacjentów. Początkowo przyjmował w zakładzie karnym w Wilkowie, potem w przychodni w Nowej Wsi Grodziskiej. Tam pracował najdłużej, razem z pielęgniarką Teresą Poznar. Były też inne miejsca pracy: Zagrodno, pogotowie w Chojnowie. Jak mówi, jego doba trwała 37 godzin. Starał się dobrze żyć z wszystkimi. Nie lubił rozgłosu. Mówi o sobie: „Byłem dość możliwym chłopakiem". Teraz żyje sobie spokojnie, wraz z żoną Zofią, na emeryturze, ale od przejścia na nią praktycznie cały czas dodatkowo pracuje. Obecnie w Gminnym Ośrodku Zdrowia w Zagrodnie. Twierdzi, że bez pracy, bez pomagania ludziom, nie wyobraża sobie życia. Ma troje dzieci i dorosłego wnuka. Jeden z synów ukończył stomatologię we Lwowie, więc poszedł w ślady ojca. Medycyna tkwi głęboko w sercu pana Tadeusza, od kiedy tylko się nią zajął. Życzymy mu, aby mógł to robić nadal, jak najdłużej pozostając w zdrowiu.

Wspomnień wysłuchała
Wioleta Michalczyk

Zawód felczer

Nazwa „felczer" pochodzi z języka wojskowego. Po niemiecku termin „Feldscherer" oznaczał polowego golibrodę.
Z czasem nazwa ta upowszechniła się i określała ludzi zajmujących się poradnictwem medycznym i drobnymi zabiegami. Zawód ten szczególnie utrwalił się w Rosji Carskiej, gdzie felczerzy praktykowali w służbach sanitarnych, sprawowali opiekę nad ubogimi warstwami ludności, psychicznie chorymi oraz służyli w wojsku. W Polsce międzywojennej nie kształcono felczerów, a liczba lekarzy wynosiła około 13 tysięcy. W rezultacie działań wojennych, a przede wszystkim eksterminacyjnej polityki okupantów w 1945 roku, pozostało ich około 7 tysięcy. Ta sytuacja stworzyła konieczność kształcenia średniego personelu medycznego. Jako pierwsze powstały w miastach wojewódzkich licea felczerskie, a w 1951 roku powołano dodatkowo w trybie pilnym pomaturalne dwuletnie szkoły felczerskie o szczególnych uprawnieniach, których zadaniem było szybkie przeszkolenie średniej kadry medycznej, szczególnie potrzebnej na wsiach i w stacjach pogotowia ratunkowego. Szkoły felczerskie to już historia, która w Polsce miała swój koniec w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Zgodnie z ustawą z roku 1950 o zawodzie felczera, znowelizowanej ostatnio 11 marca 2005 roku, uprawnienia felczera obejmują świadczenia zdrowotne wobec pacjentów niewymagających specjalistycznej opieki lekarskiej oraz w nagłych przypadkach. Ponadto felczer ma prawo wydawania orzeczeń o stanie zdrowia oraz orzekania o czasowej niezdolności do pracy. Felczer ma też uprawnienia do działań w zakresie oświaty zdrowotnej i profilaktyki, w tym wykonywania szczepień ochronnych. Zgodnie z Centralnym Rejestrem Felczerów, prowadzonym przez Naczelną Izbę Lekarską, w Polsce jest 285 felczerów czynnych zawodowo oraz 727, którzy nie wykonują zawodu. Najmłodszym felczerem w Polsce jest Stefan Torczyński, który mieszka i nadal praktykuje w Holonkach koło Brańska. W tym roku obchodzi 55-lecie pracy.

W latach 1946-50 również w przychodni w Złotoryi pracowali felczerzy: **Ernest Flatzek i Maria Zdanowicz** („Echo Złotoryi", styczeń 2013). Po nich na ziemi złotoryjskiej pojawiali się kolejni przedstawiciele tego zawodu: przedstawiony w artykule **Tadeusz Słomiany, Czesław Głąbiński, Wojciech Pol, Paweł Śnieżko, Felicja Nenkin** w Pogotowiu Ratunkowym oraz **Mieczysław Stępień**. Ten ostatni uzyskał dyplom felczera w 1956 r. i swoją pracę rozpoczął w Zakładzie Leczniczo-Zapobiegawczym przy Zakładach Górniczych w Nowym Kościele. Dodatkowo pracował w Poradni Higieny Pracy przy Przychodni Powiatowej w Złotoryi. Zajmował się profilaktyką. Następnie był zatrudniony w Międzyzakładowej Przychodni Przemysłowej w Złotoryi, ale nadal pracował na pół etatu w Nowym Kościele. W 1996 r. obchodził 40-lecie swojej pracy zawodowej (źródło: „Gazeta Złotoryjska",8.09.1996 r.)

Wioleta Michalczyk

Stowarzyszenie Dzieci Wojny

Impulsem do utworzenia Stowarzyszenia stał się ogólnopolski konkurs pn. „Byliśmy wówczas dziećmi”. Efektem końcowym było wydanie książki ze wspomnieniami. Następnie 26 czerwca 1972 roku powołano Stowarzyszenie Dzieci Wojny w Warszawie, skupiając wszystkich chętnych, którzy do 8 maja 1945 roku nie ukończyli osiemnastu lat (wg konwencji genewskiej). Wszystkie zamieszki i wojny najokrutniej dotykają dzieci. Szacuje się, że podczas II wojny światowej zginęły dwa miliony dzieci, dwieście tysięcy odebrano rodzicom w celu wynarodowienia, z czego 170 tysięcy nigdy nie odnaleziono. Nikt nie liczył kalek i chorych.

Okupant hitlerowski stosował wymyślne metody dręczenia i pozbawiania godności dzieci. Jednym z miejsc kaźni był obóz pracy w Łodzi przy ul. Przemysłowej, gdzie obowiązywał dwunastogodzinny dzień pracy. Niedożywione, nieodpowiednio ubrane do pory roku zapadały na choroby. W 1942 roku epidemia tyfusu zabrała wiele istnień dorosłych i dzieci. Polskie dzieci bywały świadkami egzekucji najbliższych. Najokrutniejsze były akcje pacyfikacyjne, podczas których każdy Polak-nawet w łonie matki - był ich wrogiem, przeznaczonym do likwidacji. Przykładem takiej akcji był dramat Michniowa na Kielecczyźnie w lipcu 1943 roku. Kiedy okupant niemiecki dokonywał pierwszych wysiedleń tzw. Kraju Warty w 1939 roku, Stalin przygotowywał wielkie wywózki Polaków na wschód. Jedni i drudzy oprawcy zadbali o to, by przesiedlani czuli, że są niewolnikami.

Transporty odbywały się wagonami towarowymi, bez urządzeń sanitarnych i ogrzewania. Brakowało żywności, środków higieny i opieki medycznej. Z samej Zamojszczyzny Niemcy wysiedlili 297 wsi, czyli ok.110 tys. ludności, w tym 30 tys. dzieci. Dzieci umieszczano w obozach przejściowych. Zimą 1943 roku jeden z transportów dotarł do Pilawy z martwymi zamarzniętymi dziećmi, skąd transport przekierowano do obozu w Sobiborze, gdzie zwłoki spalono. Niemcy specjalizowali się w badaniach pseudomedycznych, także na dzieciach, zwłaszcza bliźniakach, które przeprowadzali w kilku miejscowościach na Pomorzu, w Lublińcu na Śląsku. Wszystkie dzieci, czy to w niemieckich obozach, czy gdzieś na dalekiej Syberii żarło robactwo, cierpiały głód i zimno. Największym jednak bólem była rozłąka z dorosłymi bliskimi i sieroctwo z powodu egzekucji, mordów, chorób, czy wywózki w inne miejsce. Zmasowane przygotowane wywózki Polaków w lutym i w kwietniu 1940 roku oraz w maju i czerwcu 1941 na Nieludzką Ziemię ujawniają, że dotyczyły 300 tys. dzieci, z których z armią Andersa wyszło 20 tys. W 1946 roku władzom polskim udało się sprowadzić zaledwie 400 tys. „syberyjskich dzieci” i młodzieży do lat osiemnastu. A około 200 tys. dzieci zostało zgermanizowanych.

I właśnie o przywrócenie pamięci i godności tym dzieciom dba Stowarzyszenie. Podstawowym dokumentem jest Statut, który określa cele i zadania, które krótko ujmując, polegają na integracji środowiska, pomocy prawnej i materialnej, organizacji rehabilitacji i wypoczynku. Zadaniem obywatelskim jest ocalanie od zapomnienia tragedii polskich dzieci w czasie II wojny światowej. Dzieci wojny mają teraz 70-90 lat. W Polsce w Stowarzyszeniach skupionych jest około dwóch tysięcy osób. Osiem Oddziałów na terenie Dolnego Śląska opiekuje się 650 osobami.

Oddział złotoryjski powstał z inicjatywy mgra Henryka Pawłowskiego – długoletniego nauczyciela złotoryjskich szkół. Grupę założycielską w dniu 15 lutego 2008 roku stanowili: **Henryk Pawłowski, Helena Kmiecik i Jan Węgrzyn.** Na walnym zebraniu wybrano władze Stowarzyszenia i tak **prezesem został Henryk Pawłowski, a wiceprezesami Joanna Skiba i Jan Węgrzyn, funkcję sekretarza powierzono Helenie Kmiecik, a skarbnika-Danieli Michalskiej. Członkami Zarządu zostali Danuta Bera i Władysław Walczak.**

Kiedy Henryk Pawłowski wszedł w skład Zarządu Głównego, powołał kolejne koła – podległe Oddziałowi w Złotoryi w miejscowościach: Jaworze, Legnicy, Przemkowie, Wysokiej, Głogowie, Świerzawie i Bolesławcu. Łącznie koła skupiały 650 członków. Dość szybko kilka kół usamodzielniło się. Status Oddziału otrzymały koła w Jaworze, Legnicy i Przemkowie.

Obecnie Koło Miejsko – Gminne Stowarzyszenia Dzieci Wojny liczy (wg stanu z 31 grudnia 2013 roku) 340 członków. Koło w Złotoryi skupia 165 członków, spośród których 140 posiada uprawnienia do pobierania żywności. Stowarzyszenie Bank Żywności wydało w ciągu sześciu lat 156,29 kg żywności, na ogólną wartość 15 602 zł, co daje od 3 do 6 kg żywności na każdego uprawnionego jeden raz w miesiącu. W 2013 roku wydano 6758 kg żywności na ogólną kwotę 20 844 złotych. Kiedy pojawiły się trudności z odbiorem żywności z Jawora, w sukurs przyszedł burmistrz Ireneusz Żurawski, organizując transport.

Oddział udziela członkom pomocy prawnej poprzez Europejski Zespół Prawny „Temida”, ponadto wspomaga zdrowotnie, organizując wyjazdy rehabilitacyjne i wypoczynkowe w ośrodkach w Międzywodziu, Kołobrzegu i Mielnie. Prezes pośredniczył w wyjeździe kilku osób na Kresy z bolesławieckim organizatorem.

Koło złotoryjskie użytkuje nieodpłatnie pomieszczenie biurowe i magazynowe w budynku po byłej SP2. Obecnie **władze Koła nr 1 w Złotoryi** tworzą: **Marian Frasołowicz – prezes, Stanisława Chaim – wiceprezes, Stanisław Rataj – sekretarz, Jadwiga Kwapisz – skarbnik, Halina Mieszał – członek Zarządu.**

Dziękuję Panu Henrykowi Pawłowskiemu za udostępnienie danych dotyczących działalności Stowarzyszenia Dzieci Wojny.

Tekst: Danuta Sosa

Kronika

27.01.2015 r. W Zielonym Laboratorium w Rzeszówku odbyły się warsztaty dla dzieci pt. „Mydło ziołami inspirowane”.

28.01.2015 r. W Galerii pod Aniołem zrealizowano warsztaty ceramiczne „Z gliną na wesoło”.

29.01.2015 r. W siedzibie Stowarzyszenia Nasze Rio, w ramach przygotowań do ekranizacji powieści, Tomasz Szymaniak wygłosił wykład pt. Lata 30., 40., 50. w modzie – jak wyglądali bohaterowie „Opowieści złotoryjskiej”. Wykład uzupełnił pokaz fryzur i makijażu.

29.01.2015 r. W jaworskim muzeum, odbyło się kolejne spotkanie pn. „Poznajemy region”. Roman Gorzkowski (TMZZ) wygłosił wykład pt. „Początki lokacji miast śląskich”.

30.01.2015 r. Przy Urzędzie Miasta rozpoczęła działalność Rada Seniorów.

30.01.2015 r. W centrum miasta rozbrzmiało Hawajogranie – kwesta na rzecz Klaudii Piechury.

30.01.2015 r. Sąd Okręgowy w Legnicy stwierdził nieważność wyborów do Rady Miasta Złotoryja w okręgu wyborczym nr 3 i zarządził ponowne wybory.

31.01.2015 r. Andrzej Wojciechowski, autor „Opowieści złotoryjskiej”, wystąpił w roli przewodnika i pokazał miejsca, które wprowadził na karty swojej powieści.

1.02.2015 r. Na zamku Grodziec odbyły się Manewry Roty Pana Kacpra z inscenizacją XVII-wieczną.

3.02.2015 r. Kapituła wyboru Człowieka Ziemi Złotoryjskiej wybrała i ogłosiła pięciu nominowanych do tytułu CZZ.

4.02.2015 r. Klub Strzelecki AGAT dokonał podsumowania minionego roku. Najlepszych zawodników nagrodzono statuetkami.

9.02.2015 r. W Urzędzie Miasta odbyło się spotkanie burmistrza z przedstawicielami lokalnych organizacji i instytucji poświęcone organizacji tegorocznych Dni Złotoryi.

12.02.2015 r. 43 uczniów złotoryjskich szkół podstawowych wzięło udział w Finale Dolnośląskich Igrzysk Młodzieży Szkolnej w Akrobatyce Sportowej we Wrocławiu.

12.02.2015 r. Emerytowani pracownicy oświaty, zrzeszeni w złotoryjskim Oddziale ZNP, spotkali się noworocznie we Wzorcowej.

12.02.2015 r. Powołano nowego wiceprezesa RPK – Pawła Macugę.

13.02.2015 r. W siedzibie Naszego Rio Roman Gorzkowski przedstawił tło historyczne „Opowieści złotoryjskiej”.

13.02.2015 r. W świerzawskim Centrum Kultury Sportu i Turystyki odbyły się warsztaty dziennikarskie dla młodzieży.

13-15.02.2015 r. W hali sportowej LO odbyły się zawody klasyfikacyjne Wielkiego Pucharu Kaczawy w strzelaniach z broni pneumatycznej.

14.02.2015 r. Po złotoryjskich drogach (5500 m) pobiegli uczestnicy VI Biegowego Grand Prix Zagłębia Miedziowego w Biegach Przełajowych.

22.02.2015 r. Otwarcie wystawy fotograficznej „Nocne uroki Zamku Grodziec”.

Opracowała: Joanna Sosa-Misiak

ROMA i Jej „bracia mniejsi”

Roma, Romka, Romcia, Romeczka – tak zwracali się do Niej koledzy i przyjaciele. 2 lutego 2015 zakończyła swoją doczesną drogę życiową Romana Janina Miller z domu Bąk. A rozpoczęła ją na Kresach prawie 81 lat temu, w Chyrowie (powiat Dobromil) 28 marca 1934 r.

Jeszcze na kresach rozpoczęła edukację szkolną, ale tragiczne wydarzenia II wojny nie pozwoliły na jej ukończenie w rodzinnych stronach. Przymusowe opuszczenie kraju dzieciństwa spowodowało, iż stało się to możliwe dopiero w nowej ojczyźnie – na Śląsku Opolskim, w Prudniku. Tu, w roku 1953, ukończyła liceum ogólnokształcące, a po nim Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Krakowie (1957 r.) z tytułem magistra biologii. Już w trakcie pracy zawodowej pogłębiała wiedzę na różnych szkoleniach, a przede wszystkim w trakcie studiów podyplomowych. Pierwszą i jedyną placówką oświatową, w której Romana Miller pracowała, była Szkołą Ogólnokształcąca Stopnia Podstawowego i Licealnego – obecnie Liceum Ogólnokształcące w Złotoryi. Nabytą wiedzę wykorzystywała w procesie lekcyjnym, na zajęciach pozalekcyjnych, a w największym stopniu na zajęciach fakultatywnych, przygotowujących abiturientów liceum do egzaminu maturalnego oraz na wyższe uczelnie: medycynę, rolnictwo, biologię i kierunki pokrewne. Potrafiła zainteresować swoim przedmiotem, na zajęcia fakultatywne z biologii było najwięcej chętnych, najwięcej również było prac maturalnych z biologii. Młodzież lubiła nauczycielkę, która potrafiła przygotować do samokształcenia, w tym do olimpiady przedmiotowej. Drugim domem Romy była pracownia biologiczna - malutkie zoo z mnóstwem pomocy naukowych, roślin ozdobnych. Pracowała nad tym od początku lat 70., wzbogacając zasoby pracowni w bardzo szerokim zakresie, w tym w bogatą filmotekę. Wiedza i sumienność Romy oraz baza dydaktyczna spowodowały, że w 1973 r. władze oświatowe wyraziły zgodę na zorganizowanie w złotoryjskim LO trzech klas profilowanych, w tym jednej biologiczno-chemicznej, którą prowadziła Roma.

Roma nie stroniła od działalności społecznej w Lidze Ochrony Przyrody, Polskim Czerwonym Krzyżu, a głównie w Związku Nauczycielstwa Polskiego, do którego należała od początku pracy zawodowej. Pisała teksty do czasopism, dzieląc się wiedzą i doświadczeniem. Pracę i działalność Romy doceniali uczniowie, choć czasem niektórzy nadużywali jej dobrego serca. Doceniali ją przełożeni i władze oświatowe, co poświadcza Nagroda Ministra Oświaty i Wychowania, Nagroda Kuratora, Nagroda Inspektora, Złoty Krzyż Zasługi oraz liczne odznaki i wyróżnienia. Ale to tylko zewnętrzna postać Romy. Wszyscy, do których zwracałem się o podanie jakiejś jej charakterystycznej cechy, byli zgodni: odszedł dobry człowiek. Dobry dla ludzi oraz dla „braci mniejszych”. Zabraknie postaci na ławeczce przy ul. Słowackiego dokarmiającej zwierzęta; dla nich zawsze musiało Romie wystarczyć, dla niej samej – nie zawsze. To była dla niej namiastka pracowni biologicznej. Roma stopniowo oswajała nas ze swoim odejściem. Po formalnym przejściu na emeryturę (1987) nadal utrzymywała ze szkołą kontakt zawodowy i towarzyski. Wraz z ubytkiem zdrowia wędrówki al. Miłą były coraz rzadsze; to raczej szkoła szła do Romy. Tak było także wtedy, kiedy Roma „schowała się” w szpitalu – pomagali lekarze, opieka społeczna, przyjaciele. Jednak Ona przygotowywała się do ostatecznej przeprawy „na drugi brzeg”. Ławeczka pozostała pusta. A my „tutaj” zachowamy ją w naszej serdecznej i wdzięcznej pamięci.

Cześć jej pamięci.

Alfred Michler
w imieniu przyjaciół i kolegów
z Liceum Ogólnokształcącego

Doczesne szczątki Romy zostały złożone w rodzinnym grobowcu w Prudniku w piątek 6 II 2015 r. o godzinie 14.00. Natomiast w Złotoryi w poniedziałek 9 II w kościele św. Jadwigi o godzinie 18.00 w intencji Romany Miller odbyło się nabożeństwo żałobne.

Złotoryjska stopa na Kilimandżaro

Wyprawę na Kilimandżaro potraktowałam jako test swoich fizycznych możliwości, a jednocześnie kuszące „trzy w jednym”: wejście na Dach Afryki, dzikie zwierzęta w ich naturalnym środowisku, rajski Zanzibar otoczony Oceanem Indyjskim, pod którego lustrem rozciąga się wspaniała rafa koralowa.

Nieoceniony w tym wypadku Internet, szybko „zaproponował” mi ofertę jednego z klubów sportów outdoorowych, którym postanowiłam oddać się w opiekę. Organizator dopisał mnie do 5 innych chętnych, którzy jak ja, wybrali przełom lutego i marca, tj. czas wolny od „długich deszczy” i „krótkich dreszczy”. Choć wszyscy byli Polakami, punktem zbiorczym miała być Tanzania. Rodzina i znajomi powątpiewali w powodzenie tej wyprawy i jednocześnie chyba podziwiali moją odwagę. Ruszyłam ku przygodzie życia, pokonując trasę Berlin-Istambuł-Nairobi. W Istambule nastąpiło pierwsze przypadkowe spotkanie, jak się okazało, z członkami wyprawy. W Nairobi czekał przedstawiciel organizatora – przewodniczka Ela, z którą udaliśmy się busem do Moshi w Tanzanii. Pierwsze egzotyczne widoki: Masajowie, żyrafy przy akacjach, przyroda znana dotąd jedynie z fotografii.

Po prostu Kili

Najwyższa góra Afryki leży tuż przy granicy z Kenią, wznosi się na wysokość 5895 m n.p.m. To nie tylko najwyższy śnieżny górski masyw kontynentu afrykańskiego, to także najwyższa wolno stojąca góra na świecie. Uśpiony (niewygasły) wulkaniczny masyw posiada trzy wierzchołki: Kibo 5895m, Mawenzi 5149 m i Shira 3962 m. Krater Kibo ma średnicę 2 km, głębokość 200 m i tylko jego wierzchołek pokrywa lodowo-śnieżna czapa. Magma ukrywa się 400 m poniżej dna krateru. Szczyt Kilimandżaro znajduje się niemal 6000 m. n.p.m. i zaliczany jest do Korony Ziemi! Wielodniowa wspinaczka wymaga nie tylko odpowiedniej kondycji, ale także dobrej aklimatyzacji. Celem wyprawy była wspinaczka do najwyżej położonego punktu na krawędzi krateru Kibo tzw. UHURU PEAK (Szczyt Wolności). Obrana droga Machame, jedna z 7 możliwych, należy do najdłuższych (100 km), najtrudniejszych i niezagospodarowanych turystycznie (brak schronisk). Nagrodą są jednak wyjątkowe widoki i bazy w pięknej alpejskiej scenerii z lodowcami i pionowymi ścianami. Aklimatyzacja w afrykańskim wysokogórskim klimacie obfitowała w kontrasty i kulturową inność. W trzydziestostopniowym upale widok na szczyt pokryty lodem, spacer wśród bananowców, plantacja kawy, stumetrowy wodospad. Relaksacyjna kąpiel w zimnej wodzie i powrót przez wioski do hotelu. Smak regionalnego piwa bananowego, smak prażonej na naszych oczach kawy.

Dzień 1

Wejście do Parku Narodowego Kilimandżaro (Machame Gate) wymaga rejestracji i odnotowania wszystkich członków wyprawy w księdze wejść. Wejście na szczyt wymaga zatrudnienia i opłacenia miejscowych przewodników, kucharzy i tragarzy - stosownie do wielkości grupy. W naszym przypadku: trzech przewodników, dwóch kucharzy i dziewięciu tragarzy. Tragarze wnoszą nasze plecaki, wyposażenie całego obozowiska (namioty, karimaty, krzesełka stoliki) oraz zapasy żywności, łącznie z wodą. Jeden z przewodników będzie szedł na czele, będzie narzucał tempo i zarządzał postoje. Ruszamy… Początkowo droga prowadzi przez tropikalny las deszczowy do miejsca pierwszego biwaku zwanego Machame Camp (2980 m n.p.m.). Czas przejścia ok. 7 godzin, dystans ok. 18 km Po drodze niezwykła przyroda: wysokie drzewa porośnięte epifitami, z których jak warkocze zwisają liany, w koronach drzew buszujące małe małpki, odgłosy ptaków, niezapomniany zapach wilgotnego lasu.

Las starców (dendrosenecio kilimanjari)

Szczęśliwi zdobywcy - obóz Mweka 3068 m n.p.m.

Po pierwszym dniu już wiemy, że kucharze idą przodem i za każdym razem będą witać nas gotowym wyśmienitym gorącym posiłkiem, za każdym razem wprawiając nas w zdziwienie, serwując: kurczaki pieczone, ryż, omlety z warzywami, zupy, tosty, do picia - herbatę, kakao i kawę. Przed posiłkiem wszyscy do toalety - drewniana budka z dziurą w ziemi. Wiatr wiejący w wyższych partiach – zbawienie!

Dzień 2

Budzi nas okrzyk kucharza: „Dżambo! Tea is OK” (cześć, herbata jest gotowa). I tak już będzie codziennie. Ruszamy - koniec dżungli, wychodzimy na słońce, opuszczamy strefę lasu tropikalnego i poprzez las wrzosów wchodzimy w obszar łąk alpejskich. Wrzosy wyższe od człowieka. Idziemy sinusoidalną stromą granią skalną, potem długim i pięknym trawersem aż do 3837 m n.p.m. pomiędzy kraterami Kibo i Shira, gdzie położony jest biwak Shira Camp. Wysokość coraz bardziej ogranicza naszą wydolność, stąd dzienny dystans skraca się o połowę. Czas przejścia - ok. 5,5 godz. Czujemy się świetnie, nie uskarżamy się na nic, mamy siły na zwiedzanie pobliskich jaskiń. Podczas kolacji w niewielkim namiocie, przy świetle lampek, omawiamy strategię na jutrzejszy dzień. Wiemy, że trasa będzie trudna, ale nastroje są dobre, jeszcze nikt nie „pęka”. W nocy odczuwamy wyraźny spadek temperatury.

Dzień 3

Poranna herbata imbirowa na rozgrzewkę, śniadanie i dalej w drogę. To będzie dzień aklimatyzacyjny - różnica wysokości do pokonania to zaledwie 100 m. Aby dojść do następnego Biwaku, zwanego Barranco Camp (ok. 3976 m n.p.m.), pokonujemy wzniesienie zwane Lava Tower (4637 m n.p.m.). Do przejścia dystans ok. 15 km . Szliśmy pustynią alpejską zasłaną blokami kamieni. Tragarze, dźwigając na głowie nasze bagaże, balansowali w podskokach, niczym kozice górskie. Po kliku godzinach osiągamy cel - Lava Tower osłonięte od wiatru wysokimi skałami. Kolejny postój na popas i kontynuujemy podejście na przełęcz przy turni Lava Tower, by z kolei zejść do Doliny Barranco. A tam - najbardziej malowniczo położony biwak Barranco Camp. W trakcie marszu podziwiamy największe skalno-lodowe urwisko w Afryce - ścianę zwaną Breach Wall, mającą ok. 1200 m wysokości. Przyglądamy się starcom (dendrosenecio kilimanjari) i lobelii (lobelia deckenii) – okazy typowe dla tamtejszej flory. Gigantyczne sukulenty (starce) tworzą na zboczach całe lasy potężnych brązowych pni, zakończonych kępkami zielonych liści. Obóz to jednocześnie punkt widokowy na panoramę południowych stoków masywu Kibo, wznoszącego się 2000 m ponad nami, skąpanego w promieniach zachodzącego słońca. Podziwiam z zapartym tchem, bo to najpiękniejsza panorama gór, jaką widziałam! Nad nami krążą czarne duże kruki (White-necked Raven - kruk białoszyi) – czekają na resztki jedzenia, które po sobie zostawimy. Już dzisiaj odczuwamy efekt rozrzedzonego powietrza. W nocy lekki mróz. Czas przejścia ok. 7 godzin. Droga była długa i męcząca.

Dzień 4

Nadal jesteśmy w strefie pustyni alpejskiej. W tym dniu czekała nas najbardziej malownicza część wyprawy, a zarazem najtrudniejszy technicznie odcinek drogi z elementami wspinaczki (wykorzystujemy ręce do utrzymania równowagi i balansu ciała), pokonanie stromej bariery skalnej - ściana Barranco, a na jej szczycie widok na południowe lodowce Kibo spływające ze szczytu! Odczuwam ból głowy, ale pigułki nie działają. To objawy choroby wysokościowej. Stojąc na wysuniętej skale, podziwiam leżące w dole miniaturowe zabudowania i zieloną sawannę. Idziemy dalej, w kierunku wschodnim, osiągając Dolinę Karanga. Postój i kolejny cel - Barafu Camp (4673 m n.p.m.). Cały trzynastokilometrowy dystans zajął blisko 8 godzin. Głowa boli coraz mocniej, zaczynają się wymioty. Krępujące, ale wszyscy cierpimy na to samo. Kolacja już nie wchodzi. To pierwsza noc, podczas której mam na sobie wszystkie ciepłe ubrania, czapkę, rękawice, na śpiwór położyłam kurtkę. Zasypiam, bo za ok. 5 godzin muszę być gotowa do nocnej wspinaczki na szczyt.

Dzień 5

Pobudka jeszcze tego samego dnia o 23.00, rozgrzewająca herbata imbirowa i sucharki – już nie smakują, wzmagają mdłości. Jestem osłabiona, ale podekscytowana „atakiem” na szczyt. Cała grupa została zaopatrzona w termosy z gorącą herbatą, do bidonów wlano gorącą wodę, w plecakach własne batony energetyczne, kandyzowane owoce.

Idziemy gęsiego, przy świetle czołówek, „pole, pole”, noga za nogą. Dokucza ból brzucha i głowy. Znowu zwymiotowałam. Błogosławieństwo nocy, że nie widzę tego, co pod nogami. Idziemy szlakiem wymiocin. W dzień na pewno koszmarny widok. Jeden z przewodników przejmuje mój plecak, zarządza częste przystanki na łyk picia. Woda w camelbaku zamarzła, korzystam z termosu z herbatą. Doceniam troskę już mojego osobistego przewodnika, który częstuje czekoladowym batonem, ale nie jestem w stanie nic przełknąć - mdli na sam jego widok. Każdy krok to wielki wysiłek, więc pokonuję kilka i zatrzymuję się na szybkie, głębokie oddechy. W tej męczarni podziwiam jednak bezchmurne sklepienie nieba z wyraźnymi gwiazdozbiorami - przecudny widok. Miliony gwiazd jak na wyciągnięcie ręki. To one najbardziej utkwią mi w pamięci. W zasięgu wzroku nie ma już towarzyszy wyprawy. Cieszyłam się, że nie wystąpiły u mnie poważniejsze objawy choroby wysokościowej, takie jak np. halucynacje, czy omamy wzrokowe bądź słuchowe. Po kilkugodzinnej wspinaczce poczułam drażniące mnie do bólu kilkukrotne delikatne klepanie po ramieniu (miał to być gest pocieszający), mój przewodnik ciepłym głosem uspokajał: „Longina, Stella Point! Stella Point!”. Stella Point (5749 m n.p.m.) to miejsce na krawędzi krateru Kibo. Przewodnicy nie pozwalają na odpoczynek; wiedzą, że po nim trudno jest się dźwignąć w dalszą drogę. Wcisnęłam do ust prawie zamarzniętego batonika, znowu łyk już zimnej herbatki i do przodu. Czuję satysfakcję, że aż tyle mam za sobą, ale czuję, że wewnątrz rozpadam się. Coraz trudniej podnieść nogę i zrobić krok. Nogi jakby ważyły tonę. Mam świadomość, że do pełnej satysfakcji pozostała mi tylko różnica wzniesień ok. 150 m i jeszcze ok. godziny wędrówki. Chyba wtedy odzyskałam trochę sił. Zaczęło wschodzić słońce. Zobaczyłam błyszczący w jego promieniach lodowiec i już wiedziałam, że stanę na szczycie Uhuru Peak. Niesamowita, niewysłowiona radość. Zapierające resztki tchu widoki rekompensują ten nadzwyczajny wysiłek – natychmiast zapomniałam o wszystkim. Jestem szczęśliwa, spełniło się moje marzenie! Z radości położyłam się na śniegu, w sercu Afryki odcisnęłam rękami i nogami „orła”. Krótka sesja zdjęciowa dla zdobywców, wzajemne gratulacje i powrót.

Krótki odpoczynek

Lodowiec w sercu Afryki

Uhuru Peak 5895m n.p.m.

Okazało się, że z naszej ekipy doszliśmy w piątkę prawie jednocześnie, tylko po ok 15 minutach dotarł do nas skrajnie wyczerpany ostatni uczestnik wyprawy.

Zejście w dół było koszmarne. Na stromych piargach co chwilę ktoś tracił równowagę, upadał. Zmęczenie było tak wielkie, że niektórzy zapadali w kilkusekundowe drzemki oparci o kije trekingowe. Dłuższe postoje niewskazane, idziemy ok. 3-4 godzinny w dół do biwaku, z którego wyruszyliśmy. Tam odzyskujemy siły dzięki dwugodzinnej drzemce. Potem znów w dół do Mweka Camp (3068m n.p.m.). W trasie od 4 do 5 godzin. Chodzi o to, aby jak najszybciej zejść z wysokości. Po pokonaniu 7 km w 15 godzin, około 18.00 docieramy na miejsce. Po posiłku wszyscy układamy się do snu. Najtrudniejszy dzień za nami.

Dzień 6

Pobudka na luzie. Przy śniadaniu radośnie opowiadamy sobie wrażenia z poprzedniego dnia. Wszystkich nas rozpiera duma. Poranne biesiadowanie kończy występ naszych przewodników, tragarzy i kucharzy, którzy w nagrodę - za pokonanie szczytu - odśpiewali i odtańczyli nam „Jambo bwana”.

W drodze powrotnej podziwiamy wspaniały drzewostan tropikalnego lasu górskiego oraz panoramę Kibo. Szlak prowadzi nas do bramy parku narodowego, tzw. Mweka Gate. Tu kolejna niespodzianka - pożegnalny posiłek - zupa bananowa. Palce lizać!

Na miejscu zaopatrujemy się w drobne pamiątki i busami przenosimy się do urządzonego w stylu kolonialnym hotelu. Upragniona kąpiel, a po niej kolacja w eleganckich wnętrzach. Otrzymujemy pamiątkowy certyfikat zdobycia szczytu Kilimandżaro i kawałek zastygłej lawy pochodzącej z masywu.

Powrót do domu znów w egzotycznej scenerii - dzikie zwierzęta, afrykańska sawanna Serengeti, porośnięta baobabami Tarangiry, największa na świecie kaldera Ngorongoro.

Longina Podgórska

Złotoryjskie cechy rzemieślnicze

Pracownia krawiecka - kodeks Balthasara Behema z 1505 r.

Protoplastą dzisiejszych cechów rzemieślniczych były gildie kupieckie. W Europie zaczęły one powstawać w okresie stabilizacji politycznej, jaka nastała po podbojach normandzkich. Rozwój miast i handlu, jaki wówczas nastąpił, zrodził konieczność zrzeszania się kupców w celu ochrony własnych interesów, jednak dość szybko dostrzeżono ich potencjał solidarnościowy. Jako że w owych czasach nie istniały jeszcze ubezpieczalnie, gildie ze składek płaconych przez ich członków wspomagały finansowo kupców, którzy ponosili straty (głównie w czasie wypraw handlowych). Pożytki, jakie niosło ze sobą członkostwo we wspólnocie, nie mogły nie zostać dostrzeżone przez rzemieślników, stanowiących w średniowieczu znaczną część społeczeństwa. Wkrótce gildie rzemieślnicze dominowały nad innymi, a wielu historyków jest zdania, że ich organizacja i sposób funkcjonowania stały się wzorcem dla samorządności społeczeństwa w ogóle. Głównym celem gildii rzemieślniczych było utrzymanie kontroli nad jakością produkcji, warunkami pracy i nauki zawodu. Poza celami produkcyjnymi, świadczyły pomoc potrzebującym członkom (wypłacano zasiłki, pokrywano koszty pogrzebu, udzielano pomocy wdowom i sierotom). Rewolucja przemysłowa jednych rzemieślników doprowadziła do ruiny, innych wzbogaciła — ten dysonans spowodował zerwanie wspólnoty interesów i zagrożeń, a skończył się upadkiem gildii. Nie oznaczało to oczywiście zaniku rzemiosła, stąd w sposób niejako naturalny powstają cechy rzemieślnicze, broniące interesów rzemieślników zajmujących się określoną profesją.

Organizacje przypominające późniejsze cechy powstawały już wcześniej. Pierwsze organizacje cechowe na Śląsku pojawiły się w XIII w. We Wrocławiu wstępujący do cechu rzemieślnik, zgodnie ze statutem z 1273 roku, musiał wnieść opłatę w wysokości ¾ grzywny srebra lub 3 wiardunki. Zważywszy na to, że w Legnicy kwota ta wynosiła 2 wiardunki, można przypuszczać, że w Złotoryi było podobnie. Powinności i zakazy regulowały statuty cechowe. Ich zasadniczym przesłaniem była dbałość o właściwy poziom usług, mimo to zakres norm wychodził znacznie poza sprawy czysto zawodowe. Dziś najbardziej rzuca się w oczy ich surowy charakter. Świdnicki statut nożowników i ślusarzy z 1369 r. przewidywał karę 1,5 funta wosku za pracę przy świetle w cztery pierwsze dni postu, w wigilię niektórych świąt i sobót. Statut wrocławskich igielników, druciarzy, guzikarzy, odlewników cyny i różańcarzy nakładał karę 6 groszy i 1 łuta za świadome odebranie innemu jego czeladnika lub ucznia. W czerwcu 1361 r. odbył się zjazd mistrzów krawieckich z 22 śląskich miast, który ustanowił kary za szereg uchybień zawodowych i pozazawodowych. Na przykład za noszenie dwukolorowych spodni kara wynosiła 2 funty wosku. Za wykonanie kolorowych łat z nowego materiału - 4 funty, za noszenie krótkiego ubrania w dzień - tyle funtów wosku, ile tygodni trwało wykroczenie. Przy pomocy odrębnych służb tropiono nieuczciwość, kontrolując jakość wyrobów, rodzaj i pochodzenie surowca, a także obowiązujący czas pracy. Nie mniej ważne były także kwestie obyczajowe, których naruszenie rzucało złe światło na całą społeczność rzemieślniczą. Z cechów usuwano fałszerzy, winnych zdrady i krzywoprzysięstwa. Niedopuszczalne było życie w konkubinatach i seksualne współżycie z osobami stanu wolnego.

Nie znamy zbyt dobrze historii organizacji rzemieślniczych na ziemi złotoryjskiej w wiekach średnich, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy powiedzieć, że dominującą rolę wśród nich odgrywały zrzeszenia sukienników. Średniowieczna historia naszego miasta - wbrew pozorom - nie była pisana przez kopaczy, ale właśnie przez ludzi, którzy pracowali (jakbyśmy to dziś nazwali) w przemyśle odzieżowym. W połowie XVIII w., spośród wszystkich 582 rzemieślników cechowych, 228 zajmowało się sukiennictwem. Na Dolnym Śląsku jedynie Wrocław nas pod tym względem wyprzedzał. Trzeba zauważyć, że branża ta wciąż się rozwijała i pod koniec XVIII w. w mieście na własny rachunek pracowało ponad 250 sukienników, a wielobranżowość pozwalała na utworzenie własnego cechu przez tak egzotycznie dziś brzmiący cech wstążkarzy. Ówczesnym rzemieślnikom nieobcy był też eksport, do tego stopnia, że złotoryjskie sukno stanowiło ok. 12% ogólnego eksportu sukna śląskiego. Koniec złotej ery sukiennictwa złotoryjskiego przypadający na wiek XIX, nie oznaczał jednak kryzysu rzemiosła w ogóle. Przeciwnie - wymuszone przebranżowienie sprzyjało jego rozwojowi. W roku 1894 złotoryjski cech kowali skupiał 37 mistrzów i 28 uczniów, cech krawców- 20 mistrzów i 10 uczniów, do cechu garbarzy należało 12 mistrzów i 1 uczeń. Cztery lata później w mieście działało 16 cechów rzemieślniczych. Liczby te robią wrażenie i z pewnością budzą uzasadnioną zazdrość u współczesnych rzemieślników, niemniej trzeba uwzględnić tu naturalną skłonność Niemców do działania kolektywnego i oczywiście zupełnie inną strukturę gospodarki.

Pieczęć szewców złotoryjskich

Po II wojnie światowej na barkach rzemieślników w dużej mierze spoczęła odpowiedzialność za odbudowę gospodarki, toteż w pierwszych latach władza sprzyjała otwieraniu nowych zakładów. Sielanka nie trwała długo. Już w 1948 r. zmieniono ustawę o izbach rzemieślniczych, wprowadzając doktrynę, wedle której rzemiosło stało się sprzeczne z interesem ludu pracującego. To wtedy ukuto pojęcie „prywaciarz", które w języku potocznym pokutuje do dziś i, jak wówczas, ma wydźwięk pejoratywny. W tamtym czasie wprowadzono też słynne domiary podatkowe i utrudniano zaopatrzenie w materiały, surowce, narzędzia i maszyny. Te problemy doprowadziły do upadku niejeden zakład. Przynależność do cechu stała się obowiązkowa. Można się tylko domyślać, że za tym nakazem szło przekonanie władzy, że zrzeszenie jest nie tylko namiastką kolektywizacji, ale daje również nadzieję na możliwość jakiejkolwiek kontroli nad tą niepokorną ideowo grupą społeczną. W powiecie złotoryjskim szczególnie trudny okres przypada na lata 1949-1950 - odnotowano wówczas wyraźny spadek liczby warsztatów. W 1950 r. mieliśmy zarejestrowanych 110 zakładów, a pięć lat później już tylko 85.

Pierwszymi złotoryjanami, którzy założyli warsztaty, byli kowal Józef Litwin oraz stolarz Stanisław Podolecki. Nestorem złotoryjskich szewców był Jan Sosnowski, który swój warsztat otworzył 12 lipca 1945 roku. Miesiąc wcześniej ruszyła pierwsza polska piekarnia. Jej właścicielem był Pan Zajfert. Piekarnia mieściła się przy pl. Matejki, a dziś należy do GS". Wśród pionierów złotoryjskiego rzemiosła byli też rymarz Ignacy Kurkiewicz oraz wulkanizator Stanisław Adamczyk. Rozwój rzemiosła następował szybko. Świadczy o tym fakt, że już w 1945 r. mieliśmy 52 placówki handlowe i rzemieślnicze, 7 restauracji, 6 piekarni i 5 masarni. Do połowy listopada 1947 r. w mieście koncesjonowano 163 warsztaty rzemieślnicze, a rok później w całym powiecie złotoryjskim liczba ta wynosiła 303. W Dolnośląskim Informatorze Gospodarczym, wydanym we Wrocławiu w roku 1947 r., możemy przeczytać, że w powiecie złotoryjskim działało m.in. 30 piekarzy, 21 rzeźników, 11 krawców, 27 szewców, 6 cholewkarzy, 13 stolarzy, 18 kołodziejów i 15 kowali. Tradycja zrzeszania się rzemieślników i kupców nie pozostała martwa i tak, tuż po wojnie na ziemi złotoryjskiej powstał Związek Kupców i Rzemieślników. Z niego to wyłoniły się Powiatowy Cech Zbiorowy (24 marca 1946 r.) oraz Cech Szewców i Cholewkarzy dla powiatów złotoryjskiego i jaworskiego (31 października 1948 r.) Pierwsze władze powiatowego cechu zbiorowego stanowili: prezes Teofil Fijałkowski, wiceprezes Teodor Kordylewski, skarbnik Teofil Mazurek oraz sekretarz Mirosław Wojdyło. Z kolei władzę cechu szewców i cholewkarzy tworzyli: Starszy Cechu Ludwik Skała, zastępca Albin Skała i skarbnik Jan Sosnowski. Potrzeby wyniszczonego kraju powodowały, że oprócz pracy we własnych warsztatach, rzemieślnicy oddali się pracy społecznej - między innymi brali udział w naprawie 17 km torów kolejowych i siedmiu mostów na trasie do Świerzawy. Ponadto brali udział w odgruzowywaniu Złotoryi, Chojnowa i Świerzawy. Cech organizował imprezy, z których dochód przeznaczano na odbudowę Stolicy i na pomoc w ramach zimowej akcji pomocy potrzebującym. 26 lipca 1947 r. przekazano kwotę 18 092 zł na Dom Społeczny w Złotoryi, a 31 grudnia 1950 r. kwotę 2 200 zł dla dzieci walczącej Korei. W ramach czynów społecznych wykonano torby sanitarne dla przychodni w Złotoryi i Chojnowie. Również społecznie wykonywano zdjęcia w szkołach i szyto flagi państwowe. 15 czerwca 1947 r. Cech Zbiorowy otrzymał sztandar. 15 lutego 1950 r. połączono oba cechy i powołano Cech Rzemiosł Różnych. Od tej chwili do 12 stycznia 1954 r. funkcję Starszego Cechu pełnił Józef Litwin, a po jego rezygnacji objął ją zegarmistrz Eugeniusz Wojtczak. Po gomułkowskiej odwilży rzemiosło bierze drugi oddech. W roku 1957, w wyniku wyborów, Starszym Cechu zostaje fotograf Józef Stryszowski, jednak ze względu na zły stan zdrowia rezygnuje z funkcji z końcem roku, a na jego miejsce zostaje wybrany Marian Królikiewicz - krawiec ze Złotoryi. Nie słabnie działalność społeczna rzemieślników i tak w roku 1958 przekazali oni 4 000 zł na powodzian oraz na społeczny komitet budowy domu starców im. rodziny Matysiaków w Warszawie. Pomiędzy rokiem 1957 a 1960 powstają nowe zakłady rzemieślnicze i jest ich już 188. W wyniku wyborów w roku 1959 Starszym Cechu zostaje Aleksander Pawłowski i pełni tę funkcję przez kolejnych 8 lat. Z końcem 2001 r., gdy przeszedł na emeryturę, zostaje dożywotnio wybrany Honorowym Starszym Cechu przez wzgląd na niewątpliwe zasługi.

Od 1961 r. rzemiosło zostaje objęte planami gospodarczymi i zostaje zobowiązane do zaspokajania potrzeb ludności, tak jakby dotąd tego nie robiło. Niezależnie od rządowych planów, złotoryjskie rzemiosło rozwija się nadal. W 1961 r. cech otrzymał na swoje potrzeby świetlicę, jej remont wykonano własnymi siłami. Świetlica, mieszcząca się w Rynku nad dzisiejszą piekarnią, stworzyła warunki do realizacji zupełnie nowych przedsięwzięć. W świetlicy prowadzono kursy kroju i szycia, organizowano konkursy fryzjerskie, turnieje szachowe, bale sylwestrowe i mikołajki dla dzieci rzemieślników. Trzeba w tym miejscu zauważyć, że rzemieślnicy pozbawieni przywilejów, jakimi cieszyli się pracownicy uspołecznionych zakładów pracy, organizowali sobie dość skutecznie życie socjalne we własnym zakresie. Wspomnienia z tamtych lat mówią o niezliczonych wycieczkach, balach i zabawach dla dzieci.

Turniej cechów - stadion „Górnika" 1970 r.

Turniej cechów - stadion „Górnika" 1970 r.

8 września 1967 r. Starszym Cechu zostaje Jan Worsztynowicz, rozpoczynając kolejny rozdział w dziejach złotoryjskiego zrzeszenia rzemieślników. Ważną decyzją było utworzenie 29 stycznia 1967 r. z inicjatywy Aleksandra Pawłowskiego i Jana Worsztynowicza Rzemieślniczej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu, aby w ten sposób radzić sobie z trudnościami w zdobywaniu materiałów i narzędzi. W końcu 1969 r. spółdzielnia miała 101 członków i obrót rzędu 19 milionów ówczesnych złotych. W 1969 r. 269 złotoryjskich zakładów rzemieślniczych zatrudniało 441 pracowników i 73 uczniów. 29 maja 1969 r. oddano do użytku kiosk z pamiątkami przy baszcie. Dochód z jego działalności zasilał kasę cechu. Rok później uroczyście obchodzono 25-lecie cechu, z tej okazji 26 kwietnia 1970 r. otrzymał on nowy sztandar. Bardzo dużo zawdzięcza rzemieślnikom nasz najważniejszy zabytek, Baszta Kowalska, która została społecznie przez nich wyremontowana.

Bardzo ciekawe wydają się z dzisiejszej perspektywy turnieje rozgrywane pomiędzy cechami. Pierwszy z nich, z udziałem czterech okolicznych cechów, rozegrano 20 lipca 1969 r. we Lwówku Śląskim. Zawodnicy brali udział w licznych konkurencjach, takich jak strzelectwo, przeciąganie liny czy piłka nożna, ale oprócz nich zawodnicy mierzyli się w konkurencjach zawodowych, jak chociażby fryzjerstwo damskie i męskie, malarstwo, ciesielstwo, murarstwo, kowalstwo czy cukiernictwo. Turniej wygrał cech ze Złotoryi. Do rewanżu, w którym zmierzyły się reprezentacje Złotoryi i Lwówka Śląskiego doszło 31 maja 1970 r. Zawody rozegrano na boisku treningowym KS Górnik, ale rozpoczął je wymarsz z orkiestrą spod siedziby cechu w Rynku. Trzeba przyznać, że pomysłodawcy konkurencji popisywali się nie lada wyobraźnią. Na przykład rywalizacja malarzy była wyścigiem na składanych drabinach. Stolarze piłowali okrąglaki. Mechanicy samochodowi krzyżowo wymieniali koła w samochodzie Syrena. Krawcy przyszywali po 30 guzików marynarkowych. Murarze układali kominki bez zaprawy. Kowale klepali do czerwoności stalowy pręt. Wygrywał ten, który pierwszy odpalił od niego papierosa. Tym razem rywalizacja skończyła się remisem 7:7.

Lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku to trudny okres dla polskiej gospodarki. Trudności z zaopatrzeniem w materiały i narzędzia dotykały rzemiosło w sposób szczególny, ponieważ pierwszeństwo w zaopatrzeniu miały przedsiębiorstwa państwowe. Mimo to, jak donosi Słowo Polskie nr 274/88, w latach 1984–1988 w Złotoryi powstało 91 nowych zakładów rzemieślniczych. W roku 1988 w regionie istniały jeszcze 332 zakłady, z czego 29 zajmowało się produkcją. Ważnym etapem w dziejach złotoryjskiego cechu było przewodniczenie w latach 1981–1985 Radzie Izby Rzemieślniczej we Wrocławiu przez Jana Worsztynowicza. To w tamtym okresie nawiązano współpracę partnerską z Izbą z francuskiego Arras. Współpraca ta trwa do dziś, a polega na wymianie doświadczeń mistrzów i spotkań młodzieży obu krajów. Nie można w tym miejscu nie wspomnieć o Pani Krystynie Gołębiowskiej, która do przejścia na emeryturę w roku 2014 była pracownikiem administracyjnym cechu i stanowiła jeden z najmocniejszych jego filarów. Starszymi Cechu, oprócz wyżej wymienionych, byli jeszcze: Bogusław Podgórski, Henryk Mazur, Stanisław Dacka i Ryszard Koszelowski.

Andrzej Wojciechowski

Ciąg dalszy w następnym numerze

Był sobie wulkan cz. II.

Cywilizacja

Nastał czas zwierząt i ludzi. Wśród leśnych ostępów w rozlicznych grotach zamieszkały niedźwiedzie, lisy i wilki. Zwłaszcza tych ostatnich było bardzo dużo. Ze wszystkich stworzeń, które pojawiły się w tym czasie, ludzie jednak byli najbardziej pomysłowi i kreatywni. Wyszli z wilgotnych, zimnych grot i zaczęli tworzyć własne dzieła. Do konstruowania używali wszystkiego, co znaleźli w pobliżu: drzew, kamienia, kości. W końcu zaczęli ujarzmiać zjawiska, nad którymi władzę miała tylko Matka Ziemia, nietrwałe i niebezpieczne, takie jak ogień, woda i wiatr. Szybko, znacznie szybciej niż lód zaczęli zmieniać otoczenie wokół wulkanów. Niedaleko Wilczej Góry pojawiły się skomplikowane konstrukcje, gdzie ludzie chronili się na noc, głównie z drewna. Ale jedna z kamienia, większa niż inne, gromadziła w środku coraz więcej ludzi. Bo też coraz więcej ludzi przybywało do prowincji, gdzie Wilcza Góra ciągle trwała. Budowle się rozrastały, a konstrukcje stawały się coraz bardziej skomplikowane. Niedaleki Grodziec, któremu lądolód także obnażył trapezoidalne serce, ozdobiony został ludzką budowlą. Śmiesznie mali ludzie okiełznali ogień i zaczęli tworzyć to, co do tej pory robiły tylko wulkany. Mieszali składniki Matki Ziemi, a nawet więcej – zmieszane rozdzielali i otrzymywali zupełnie nowy budulec. Rodziła się Cywilizacja. Czas jakby przyśpieszył, Cywilizacja rosła szybciej niż buntowała się Magma i niż nadchodził Lądolód. Wysyłała coraz więcej ludzi, którzy lasy zamieniali na domy, kamienie na drogi, a w ogniu kuli żelazo. W końcu ludzie zaczęli przypominać wulkany z czasów ich młodości. Tak jak one przed eonami, rywalizowali ze sobą w wyrzucaniu małych bomb i kamieni we własnych eksplozjach, na jak największe odległości. W 1813 r. holocenu (czwartorzędu ery kenozoicznej) Wilcza Góra z ciekawością obserwowała biegających po niej kolorowych ludzi, bawiących się w tę grę. Wcale jej to nie przeszkadzało. Zabawy te bawiły wulkany, ale też budziły ich podziw, kiedy przypominały sobie swoje lata młodzieńcze.

W końcu Cywilizacja w poszukiwaniu dalszych możliwości rozwoju, obróciła swe oko także na wulkany. Pewnego dnia na Wilczą Górę wszedł człowiek, którego nazywali Paul Trippke - polski mineralog. Pilnie przypatrywał się wulkanowi, chodził po nim całymi dniami, często kiwał głową, coś pisał, potem stawał, podnosił kamienie i znowu kiwał głową, i znowu coś pisał. W 1878r. opublikował pierwsze informacje na temat składu bazaltów w Wilczej Górze. Dwa lata później w Chile odkryje nowy minerał nazwany na jego cześć Trippkeita i w tym samym roku umrze, mając zaledwie 29 lat.

Cywilizacja się oblizała. Bazalty Wilczej Góry były twarde, miały stały skład chemiczny, strukturę

mikrokrystaliczną z rodzynkami prakryształu oliwinu - ogólnie wysokie parametry technologiczne. Doskonałe do grysu 2-10, 5-20, 10-20, 20-40, a później nawet do 0-2, 2-5, 5-8, 8-11, 11-16 i 16-22. Postanowiono budować z niego drogi, ulice oraz nasypy kolejowe. Przełom wieków okazał się rzeczywiście przełomowy. W 1902 r. przez bramę z szyldem „F. Seifert - Steinbruch" przyszli ludzie z łomami. Zaczęli odłupywać bazalt, już nie ten spękany, miękki, wierzchni, ale ten najlepszy twardy, który przez miliony lat z mozołem Wilcza Góra tkała w najwymyślniejsze wzory i który przez dziesiątki tysiącleci opierał się lądolodowi.

Na szczycie Góry ludzie odpoczywali, latali na podobnych do bocianów maszynach i budowali pomniki na cześć zabaw z 1813 r. Na dole stworzyli z żelaza drogę dla wózków, którymi transportowali skałę, wydobytą swoimi małymi eksplozjami w czopie. Z prędkością 30 tys. ton na rok zbliżali się do pnia wulkanu. Wszystkie ulice w niedalekim Goldberg zostały wybrukowane tym wulkanicznym skarbem.

Znikanie bazaltu zostało przerwane na pewien czas, w którym Cywilizacja pozwoliła ludziom zorganizować kolejne zawody w urządzaniu eksplozji i wyrzucaniu swoich bomb i lapilli. Ta zabawa jednak, swoim rozmachem bardziej przypominała harce wulkanów, niż ta sprzed 130 lat, kiedy biegały tu kolorowe ludziki. Potęga Cywilizacji rosła w zastraszającym tempie, tak samo, jak jej głód.

Po zawodach, w połowie XX wieku, pod Wilczą Górą zjawili się inni ludzie z nowymi maszynami. Mówili innym językiem i nazywali Wilczą Górę – Wilkołakiem, nie wiadomo właściwie dlaczego? Nigdy żaden wilkołak nie biegał po wulkanie.

Głód Cywilizacji był tak wielki, że rozniosła się wiadomość o decyzji likwidacji Wilkołaka. Jego bazalt miał odbudować Warszawę, następnie zbudować metro warszawskie, lotniska, elektrownie Żar-Porąbka i Bełchatów, ale też tę atomową w Żarnowcu.

Wilcza Góra, pomimo zagrożenia, wiedziała jednak, że nic jej nie grozi, ze wszystkich wulkanów w całej Prowincji tylko ona posiadała arcydzieła, które pozwolą jej przetrwać Kamienne Słońce i Kamienną Różę. Pomimo tego w 1952 r. potężna eksplozja komorowa zwaliła południową ścianę, na której szczycie dawni ludzie wybudowali sobie schroniska i odsłoniła serce Wilczej Góry. Z olbrzymiego kiedyś i podziwianego wulkanu pozostała zaledwie połowa. Gdyby ładunek w komorze był taki, jak planowano, cały wulkan przestałby istnieć już w latach pięćdziesiątych XX wieku.

Jednak widok piękna, jakie objawiło się w pniu Góry, na nowo przykuł uwagę Cywilizacji. Ponownie wysłała tam swego przedstawiciela. Profesor Józef Zwierzycki, jeden z najwybitniejszych polskich geologów, dokładnie obejrzał arcydzieła Wilczej Góry, sporządził odpowiednią ekspertyzę i stwierdził konieczność ochrony bardzo rzadko występujących form zastygłej lawy bazaltowej. Proroctwo się spełniło. Wulkan przetrwał dzięki swej ciężkiej artystycznej pracy. Cywilizacja zrozumiała, że jej rozwój nie polega na tworzeniu coraz to większej ilości dróg, fabryk, hut, miast i domów, ale na tym jak to, co musi wybudować, współgra i współegzystuje z tym, co odziedziczyliśmy po dawnych konstruktorach. Nie liczy się rozwój materialny za wszelką cenę, lecz równie ważne jest współdziałanie z Naturą, jak nazywano Matkę Ziemię, i z jej tworami. Tylko współpraca pozwoli na budowę dzieł, o których nikomu nigdy się nie śniło. Decyzją z 1959 r. XX wieku Wilcza Góra została zamknięta w rezerwacie, gdzie miała bezpiecznie doczekać ostatecznego końca. Poza rezerwatem jej zasoby mają być zagospodarowane przez Cywilizację wg jej potrzeb.

Tymczasem napisy na szyldzie kamieniołomu zaczęły się zmieniać. Firmę z Tarnobrzegu zastąpiły Złotoryjskie Kamieniołomy Drogowe, a te Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych Budownictwa nr 2 Warszawa, aby w końcu lat pięćdziesiątych kamieniołom przeszedł w ręce Bolesławieckich Zakładów Kamienia Budowlanego. Prymitywne początkowo kruszarki i inne maszyny zastąpiono w 1970 r. nowoczesnymi węzłami do produkcji tłucznia i grysu, powstał wtedy całkiem nowy zakład. Trzy lata później kamieniołom przejęły Wrocławskie Zakłady eksploatacji Kruszyw, by po czterech latach oddać go Zielonogórskim Kopalniom Surowców Mineralnych. W tym czasie wzrastało wydobycie bazaltu od 30 tys. ton do 330 tys., a nawet w latach siedemdziesiątych do 600 tys. ton rocznie. Czasy te należały do ludzi, których Cywilizacja nie kontrolowała. Na jakiś czas swój wzrok odwróciła w inną stronę. Wtedy to filar ochronny rezerwatu skurczył się z 50 metrów do 15, skały zaczęły się kruszyć i wietrzeć od olbrzymich eksplozji komorowych. Jednak Cywilizacja miała swoich strażników. Na nowo przywrócono granice rezerwatu i w następnych latach pod Wilkołakiem, co jakiś czas zbierały się grupy ludzi raz niosących ładunki, raz grożących palcem.

Oko Cywilizacji ponownie zwróciło się na nasz region w 1989 r., spowodowało to zmiany właścicielskie kamieniołomu. Górnicy wreszcie zaczęli pracować na swoim majątku, a nie jak dotychczas, na państwowym, czyli niczyim. Szyld nad bramą ponownie przybierał różne oblicza, aż w 2006 r. ogłosił: COLAS Kruszywa Sp. z o.o. Nowi właściciele zrozumieli intencję cywilizacji, życia w zgodzie z Naturą. Wprowadzono System Zakładowej Kontroli Produkcji. Skończyły się strzały komorowe dziesięciotonowymi ładunkami, powodujące dzwonienie szyb w pobliskim szpitalu, rozluźnianie skał rezerwatu i w konsekwencji jego wietrzenie. Postęp techniczny umożliwił używanie kilku mniejszych ładunków w taki sposób, że wzajemnie tłumią swoje drgania i precyzyjnie oddzielają urobek od skały.

W drugim dziesięcioleciu XXI wieku nastąpiła kolejna krótka przerwa w wydobyciu cennego surowca Wilkołaka. Po czym w 2022 r. ostatecznie zakończono prace górnicze, pozostawiając charakterystyczny ząb rezerwatu.

Wokół naszej Góry powstały ścieżki, które prowadziły do najcenniejszych okazów wulkanicznej twórczości, wybudowano punkty widokowe, zamontowano lunety i ludzie znowu przychodzili tu odpoczywać i podziwiać artystyczne piękno Wilkołaka - Wilczej Góry.

5 miliardów lat potem Słońce wzeszło jako Supernowa.

Część opisanych wydarzeń miała miejsce w rzeczywistości.

Informacje zaczerpnięto z artykułów Krzysztofa Maciejaka „Wilkołak jako element środkowoeuropejskiej prowincji wulkanicznej" oraz Bogusława Cetery, Zbigniewa Laska, Andrzeja Maszczaka „Eksploatacja bazaltu" zamieszczonych w publikacji TMZZ „Wilkołak (Wilcza Góra) koło Złotoryi". Wykorzystano także informacje udostępnione przez firmę COLAS Kruszywa Sp. z o.o.

Jarosław Jańta

Galeria nominowanych

Małgorzata i Zbigniew Gruszczyńscy

Fot. www.agroturystyka-agat.pl
Teresa Kucharska i Paweł Góźdź

Aleksander Borys

Marzena i Ewelina Szkutnik

Bartosz Łoś

Faworki dziadka Krzysztofa i wnuczki Ani

Składniki:
1 kg mąki 450
5 żółtek
1 śmietana 18%
100 g spirytusu lub octu spirytusowego
łyżeczka soli

Do przesianej mąki dodać żółtka, śmietanę, spirytus (lub ocet), łyżeczkę soli. Całość zagnieść jak na makaron, ciasto musi być jednak bardziej miękkie. Ciasto na godzinę odstawić do lodówki. Po wyjęciu kroić na małe dwucentymetrowe kawałki i rozwałkować cieniej niż na makaron (na grubość 1,5 mm). Cieniutki kawałek kroić na 3-centymetrowej szerokości paski, przyciąć na długość patelni, naciąć po środku i przepleść tak, by zrobił się warkoczyk. Na patelni rozgrzać dużą ilość oleju, by faworki mogły unosić się na wierzchu. Po zrumienieniu jednej strony, obrócić na drugą. Wyjęte faworki składać pionowo w wąskim naczyniu tak, by nadmiar tłuszczu spłynął na dno. Suche faworki przełożyć na szeroki półmisek i obficie obsypać cukrem pudrem.

Moja Mama, a mojej córki babcia, pochodziła z Wielkopolski i miała dość stania w kolejkach za pączkami w Tłusty Czwartek. Dlatego u nas w domu zawsze piekło się faworki które mają tę zaletę, że można je zjeść i jeden, i dwa dni po Tłustym Czwartku. A pączki już są nieświeże.

Krzysztof Jańczak

Z ludźmi za pan brat

Cechą łączącą działaczy społecznych jest jakościowe podejście do życia, nie zadowala ich bezczynne przyglądanie się biegowi spraw, unoszenie się na fali, która nie wiadomo, gdzie poniesie. Zdecydowanie bardziej wolą brać byka za rogi, a wsparci o niezbędny filar – wiedzę i rozmaite kompetencje - potrafią uruchomić łańcuch życzliwych gestów, kształtują lokalną prospołeczność, ubarwiają życie codzienne nietuzinkowymi wydarzeniami. Imponują kreatywnością, zapałem, ukierunkowaniem na osiąganie celu, bywa, że wyboistą drogą.

Ludzie obdarzeni potencjałem społecznikowskim rzadko kiedy działają w pojedynkę, szukają wsparcia u innych i na ogół je znajdują. Działają na rzecz społeczności, środowiska naturalnego, podnoszą atrakcyjność miejsca zamieszkania. Tworzą organizacje obywatelskie, stowarzyszenia, towarzystwa, koła miłośników, wspólnoty.

Bywa, że na pracy pro publico bono upływa im życie, a jedyną satysfakcją jest podziękowanie i dobre słowo odbiorców i zawierane przyjaźnie. Bywa jednak, że praca ta urasta do rozmiarów zawodu i staje się podstawowym źródłem dochodu, z którego jednak korzyść ma szerokie grono mieszkańców, turystów, innych pasjonatów. Takich ludzi postanowiliśmy honorować tytułem Człowieka Ziemi Złotoryjskiej – ludzi pomysłowych, zaradnych, konsekwentnych, kierujących ofertę do szerszego odbiorcy, znajdujących pomysł na życie, który przy okazji staje się wizytówką miejscowości. Jednym słowem – nagradzamy organizatorów życia społecznego, zdając sobie sprawę z tego, że nie zawsze jest to działalność społeczna wedle definicji, tzn. „dobrowolna i nieodpłatna". Wybór tego jednego jedynego, proszę wierzyć, nie zawsze jest prosty. Bo jak porównać sprintera z maratończykiem? Jednorazową imprezę ściągającą wielu chętnych z wieloletnim projektem, którego finał przypada na aktualny rok? Jak ocenić setki małych cichych kroczków wykonywanych w duecie, ale zmierzających do wytyczonego celu z pracą sztabu ludzi zarządzanych jednym „mózgiem"? Jak zmierzyć trud, gdy wiemy, że jednym idzie jak po maśle, a innym same kłody lecą pod nogi?

Kapituła Wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej za rok 2014 zebrała się po raz pierwszy 20 stycznia br. Tym razem Kapituła obradowała w składzie:
Zenon Bernacki – przewodniczący Rady Powiatu,
Roman Gorzkowski – członek TMZZ,
Łukasz Horodyski – przedstawiciel Rady Powiatu,
Mirosław Kopiński (przewodniczący) – Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2011,
Andrzej Kowalski – Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2012,
Alfred Michler – członek TMZZ (złożył rezygnację z dniem 10 lutego),
Agnieszka Młyńczak – Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2013,
Cezary Skała – Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2013,
Joanna Sosa-Misiak – redaktor naczelna „Echa Złotoryi",
Bogusław Szyja – radny Rady Miasta i Gminy Świerzawa,
Kazimiera Tuchowska – członek Zarządu TMZZ.

Członkowie Kapituły dwukrotnie spotykali się (po raz drugi 3 lutego br.), by omówić kwestie związane z regulaminem, polityką informacyjną, organizacją gali, ale przede wszystkim w celu zapoznania się ze zgłoszeniami i zawartymi w nich uzasadnieniami. Zgłoszeń, jak co roku, napłynęło dużo, w sumie w chwili głosowania wzięto pod uwagę 36 kandydatur (przyjęto 6 próśb o wycofanie kandydatury). 3 lutego w wyniku głosowania Kapituła wybrała „piątkę" nominowanych do głównej nagrody, tj. tytułu Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2014 r. Nominowanym solistom i duetom serdecznie gratulujemy, szczerze podziwiamy działalność i nieoceniony wkład w nadawanie kolorów szarej rzeczywistości. Dziękujemy za ich zmysł społeczny, zakotwiczenie w małej ojczyźnie, pozytywną energię ukierunkowaną na różne formy życia zbiorowego. Do grona nominowanych weszli:

Aleksander Borys – wieloletni oddany prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej; pomysłodawca i współorganizator wielu wydarzeń kulturalnych i turystycznych; niestrudzony działacz w zakresie kultury kresowej i niemieckiej przeszłości ziemi złotoryjskiej, sponsor wielu działań kulturalnych i akcji charytatywnych; ambasador eksperymentalnych technologii – założyciel farmy ogniw fotowoltaicznych, polegającej na produkcji energii elektrycznej ze słonecznej (elektrownia, 2014 r.).

Małgorzata i Zbigniew Gruszczyńscy - sołtys wsi Wojcieszyn i dyrektor ZOKiR; założyciele Fundacji „Wojcieszyn – Wioska Don Kichota"; autorzy oferty pobytowej dla turystów „Wioski z pomysłem", organizatorzy licznych spotkań i zabaw dla dzieci i młodzieży z sołectwa Wojcieszyn, a także współorganizatorzy imprez towarzyszących innym wydarzeniom sportowym i kulturalnym; zdobywcy II miejsca w konkursie „Piękna Wieś Dolnośląska" w kategorii „ Najlepsze przedsięwzięcia w odnowie wsi".

Teresa Kucharska i Paweł Góźdź – właściciele Gospodarstwa Agroturystyczno-Winiarskiego AGAT w Sokołowcu; propagatorzy wiedzy o winach i kulturze picia win; organizatorzy cyklu pn. Wieczory Win, spotkań o charakterze edukacyjnym, propagujących wiedzę o bogactwach mineralnych Krainy Wygasłych Wulkanów oraz zlotów kolekcjonerów minerałów; zdobywcy nagrody „Piękna Wieś Dolnośląska 2014 w kategorii Najładniejsza Zagroda".

Bartosz Łoś – organizator już III Zlotu Fanów Ewy Farnej, przygotowanego z dużym rozmachem i połączonego z promocją miasta za pośrednictwem internetu, radia i telewizji; pieniądze uzyskane ze sprzedaży biletów, przekazane zostały fundacji „Jeżyk "wspierającej Dom Dziecka w Wilkowie; prezes Stowarzyszenia Progress, które zorganizowało koncert charytatywny z udziałem grupy Pokahontaz; chętnie współpracuje z innymi lokalnymi stowarzyszeniami.

Marzena i Ewelina Szkutnik - założycielki Stowarzyszenia „Czaple – Wieś z Przyszłością", autorki projektu i realizatorki ścieżki historyczno-edukacyjno-przyrodniczej „Szlakiem kamiennych krzyży w Czaplach (Choińcu) w Krainie Wygasłych Wulkanów"; inicjatorki powstania miniaturowej ścieżki kamiennych krzyży; pomysłodawczynie skrytek związanych z międzynarodową grą terenową geocaching na terenie Czapli i ich okolic oraz Złotoryjskiego Lasu; aktywistki chętnie włączające się do wielu innych wydarzeń i przygotowujące tzw. imprezy towarzyszące.

10 lutego br. spośród pięciu nominowanych wyłoniono laureata tytułu. Jego przedstawienie nastąpi 26 lutego podczas uroczystej gali w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji - do tego dnia nazwisko/a zwycięzcy/ów utrzymane będą w tajemnicy. Imprezę patronatem honorowym objął w tym roku pan Zenon Bernacki – przewodniczący Rady Powiatu, kasztelan Zamku Grodziec, wieloletni działacz społeczny oraz promotor ziemi złotoryjskiej w kraju i na świecie.

Wyborowi Człowieka Ziemi Złotoryjskiej towarzyszyć będzie wystawa fotograficzna członków Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego, którzy zaprezentują swoje najlepsze fotografie, wyłonione wcześniej w konkursie „Zdjęcie miesiąca". Jak w poprzednich edycjach, prezes ZKF ogłosi konkurs na wybór najlepszego zdjęcia roku. Za pomocą kuponu można będzie oddać swój głos (wynik poznamy podczas gali) i wziąć udział w losowaniu upominków. Wszystkich naszych Czytelników serdecznie zapraszamy i obiecujemy, że nudzić się z nami Państwo nie będą!

W oczekiwaniu na wybór laureata pamiętajmy, że nie każdy degustator jest jednocześnie doskonałym kucharzem. Z pozycji uczestnika wydarzeń bądźmy powściągliwi w wyrażaniu opinii. Pamiętajmy, że ten, kto był uczniem, nie jest specjalistą od oświaty, a ten kto zajada warzywa, niekoniecznie jest od razu dietetykiem. Podobnie jest z aktywnością na deskach sceny społecznej i odbieraniem jej z pozycji biernego uczestnika. Szczególnie, gdy nie mieliśmy okazji i ochoty pokosztować działalności pro publico bono, nie znamy zaplecza i licznych dylematów, z którymi borykają się lokalni inżynierowie życia społecznego. Nie odbierajmy radości tym, którzy dzisiaj świętują sukces i otwierają szampany.

A swoją drogą, anonimowym szumiwodom – współczujemy! A może by tak z ludźmi za pan brat?!

Joanna Sosa-Misiak

Fot. Kajetan Kukla

Wstyd tu mieszkać

Jak pani tu dojechała, nie szkoda auta? – słyszę po wyjściu z samochodu. To kobieta, pchająca wózek, dziwi się mojej determinacji w pokonywaniu rozległych kałuż przed budynkiem na Łąkowej.

Ta droga to dramat. Trudno nią jechać a jeszcze trudniej chodzić. Ale którędy mamy iść do miasta? – pyta retorycznie Renata mieszkająca w domu obok bloku socjalnego. *Nic z nią nie robią. Ani za Żurawskiego, ani teraz. Tylko kamień na nią sypią. To jest droga? To jest gorsze niż ser szwajcarski. Ale pani tego pewnie nie napisze, bo już byli tu kiedyś z gazety i nie napisali – sceptycznie dodaje. Tylko wziąć pług i zaorać to wszystko. Jak był jeszcze tu PGR to i droga i budynki miały wygląd, teraz - tragedia.*

Obiektywnie rzecz biorąc – trudno się nie zgodzić. Tragedia. Do najbliższego sklepu jest półtora kilometra skrótem, polną drogą, do centrum miasta idzie się 45 minut. To dobra odległość, by odseparować niewygodnych mieszkańców od całej reszty Złotoryi. Popularny tajwan stał się taką Australią naszego miasta. Lądują tu ludzie, którym powinęła się noga. Dlatego miejsce nie jest dobrze kojarzone, by nie powiedzieć dosadnie – cieszy się fatalną sławą. A kim są ci, skazani na wygnanie lokatorzy bloku na Łąkowej?

Historia Jerzego

Spotykam go przed komórką, gdzie rąbie drewno. *To na opał – wyjaśnia. Ale palę też węglem. Chociaż ludzie palą, czym popadnie. To widać, jaki dym leci.*

Jerzy mieszka na Łąkowej od półtora roku. Jest tu nowy. Dostał od miasta pokój do dyspozycji z dwoma innymi lokatorami. To się nazywa mieszkać na wspólnocie. Mieszkania podzielone są na pokoje. Kuchnia i łazienka są wspólne dla mieszkańców dwóch lub trzech pokojów. Do kogo trafisz, z tym musisz jakoś żyć, coś jak w wojsku czy internacie…albo w więzieniu.

Jerzy trafił tu za długi. *Wojowałem z RKP, z Urzędem Miejskim* – mówi. *Mieszkałem na Chrobrego, tam nawet ściany pękały. Nie mogłem doprosić się remontu. Jak raz, drugi, trzeci nie słuchali, to za co miałem płacić* – ni to pyta, ni stwierdza Jerzy. Dług urósł i lokator został eksmitowany na Łąkową. Jak mu się tu mieszka? Nie jest tak strasznie, ale hałas przeszkadza. I awantury - prawie codziennie jest tu policja. *Do mnie nie przyjeżdżają, bo nie mają okazji* – śmieje się Jerzy. Trzeba się też jakoś umieć dogadać z kolegami z pokoju. To dość trudna sztuka kompromisu, by ustalić, kto sprząta, kto pali w piecu. Wystarczy, że jeden się buntuje i cały system się wali. Palenie w piecu to istotny punkt w harmonogramie dnia. Dokłada się trzy razy dziennie. W pokojach są piece kaflowe. W kuchniach piece opalane węglem podgrzewające wodę na mycie. W zasadzie służą tylko do tego celu, bo lokatorzy korzystają z kuchenek gazowych. Na nich szybciej gotują obiad. Szkopuł w tym, że do bloku na Łąkowej nie dochodzi gaz. Kto chce korzystać z kuchenki, przykręca butlę. Piece w pokojach nie są bezpieczne. Zawsze jest ryzyko, że się rozszczelni system wentylacyjny. Wtedy o nieszczęście nietrudno. A kominiarzy to tu dawno nie widziano.

Jerzy nie zgadza się pokazać swojego pokoju, bo nie wie, czy życzyliby sobie tego jego sąsiedzi. Ale z chęcią pokazuje komórkę, przed którą go spotykam. Wnętrze wypełnione stosem drewna i workami z węglem. *Pomogłem rozbierać stodołę, to mi dali drewno* - mówi. *A jak gdzieś idę do lasu i widzę, że leży korzeń, zabieram i rąbię. Nie czekam na niczyją pomoc.*

Jerzy jest i tak w dobrej sytuacji. Ma emeryturę i z niej żyje, teraz już bez długów.

Los Andrzeja

Andrzej właśnie wraca do domu. Szczupły mężczyzna w średnim wieku. Jest dość rozmowny i nie broni się przed pokazaniem swojego lokum. Jego pokój znajduje się w mieszkaniu, które dzieli jeszcze z czterema mężczyznami. Jest szczęściarzem, bo mieszka w pokoju sam. Chociaż trudno wyobrazić sobie, by ktoś jeszcze się tam zmieścił. Po jednej stronie ściany łóżko, po drugiej regał a pośrodku przejście o szerokości pół metra. I jeszcze stoi tu duża butla z gazem, bo przecież każdy *gotuje na swoim gazie*. We wspólnej kuchni każdy lokator ma swoje meble, dlatego styl wnętrza jest, oględnie mówiąc, eklektyczny. Łazienka wyposażona skromnie, ale niezbędne sprzęty są: ubikacja, umywalka, kabina prysznicowa.

W oko wpada brak pralki. *Pralka jest, „frania", ale na dole ją trzymam. Przynoszę, jak trzeba* – wyjaśnia Andrzej.

Mieszkanie jest schludne, choć zdecydowanie nieprzytulne. Odnosi się wrażenie tymczasowości. Jakby ktoś tu przyjechał na chwilę i nie robił nic, by oswoić przestrzeń, nadać jej odrobinę ciepła. Taka przechowalnia. W tej przechowalni Andrzej już mieszka cztery lata. *Wie pani, że ja tu stróżowałem, jak budowali ten blok, mam nawet zdjęcie, gdzie jestem na tle okna tej kuchni.* Wtedy nie przypuszczał, że tu los go rzuci. *Jestem z zawodu murarzem – tynkarzem. Ale nie mam pracy. Czasem zdarzy się jakaś dorywcza, ale nic na stałe.*

Andrzej – podobnie jak Jerzy – trafił tu za długi. Mieszkał z ojcem na Mickiewicza. Ale ojciec umarł i zostawił syna ze zobowiązaniami. Zasiłek z MOPS-u 270 złotych nie starczył, by je pokryć i jeszcze jakoś żyć. Na szczęście Andrzej nie ma żony, dzieci, bo byłoby krucho z utrzymaniem się na powierzchni życia. Sam sobie jakoś radzi. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Choć pewnie niełatwo, gdy patrzy się na schody brudne od błota, wielobarwne ściany - przejaw aktywności najmłodszych lokatorów, uprawiających sztukę pisma obrazkowego. Tabliczki z numerami budynku

Fot. Agnieszka Młyńczak

fantazyjnie powyginane, elewacja z dziurami jak po ostrzale z cekaemów, brak klamek do drzwi wejściowych – pewnie są już w skupie złomu, podobnie jak drzwi do komórki. Taki obraz nędzy i rozpaczy notuje wzrok gościa bloku na ulicy Łąkowej. Można się przyzwyczaić - na pewno, tylko czy o to chodzi?

Nikomu nie życzę, by tu mieszkał – mówi Andrzej na pożegnanie.

Opowieść Zdzisława

Zdzisław to zupełny nowicjusz. Jest tu od dwóch miesięcy. Wcześniej mieszkał w Rynku. Ale zadłużył mieszkanie i tak jak inni w tej sytuacji, znalazł się na słynnym *tajwanie*.

Od sierpnia ma przyznaną rentę, bo po wypadku dość ciężko mu się poruszać. Spotykam go, gdy stoi wsparty o kuli w drzwiach wyjściowych klatki schodowej. Tak spędza czas. Zawsze można z kimś zamienić słowo, na coś popatrzeć. Nie przyzwyczaił się jeszcze do Łąkowej.

Czuje się jak na zesłaniu. Do miasta daleko, autobusy nie jeżdżą…zostaje mu stać w drzwiach. Pociesza się, że ma dobre towarzystwo w pokoju. *To znajomy, ucieszyłem się, jak go zobaczyłem* – mówi. Zdzisław przyjechał tu z całym dorobkiem życia. Nie było tego wiele, ale i tak za dużo, by wstawić do wspólnego pokoju.

Pobyt na Łąkowej ma zagwarantowany na dwa lata. Potem, jeśli nie zmieni się jego sytuacja, będzie musiał formalnie przedłużyć swój pobyt.

Kłopoty Janiny

Janina jest energiczną kobietą i nie owija słów w bawełnę. *Chce pani wiedzieć, jak tu jest? Tu jest jeden wielki burdel* – mówi. Kobieta kiedyś mieszkała na Rzemieślniczej. Tam nie było luksusów, ale mimo wszystko - bez porównania lepiej, choć czasem woda lała się z sufitu. Tu też się to jej zdarza. Ostatnio sąsiedzi zalali jej pokój, po czym ślady widać do tej pory. *Wie pani, ja się nie mogę doprosić, by coś zrobili z tymi drzwiami do mieszkania. Trzeba zapychać je szmatami, bo wieje. Ta zasłonka to też dla ochrony przed zimnem.* Już kilka lat interweniuje w RPK, ale nic z tego nie wynika.

Na Łąkowej mieszka z dorosłym synem. Są tu sześć lat. Pokój, który zajmuje, nosi ślady kobiecej ręki. Mimo skromnego wyposażenia, jest przytulnie. Co dziwne w takim miejscu – na ścianach wiszą kwiaty, w oknach estetyczne firanki. Wspólna łazienka i przedpokój schludne. *Mój sąsiad z drugiego pokoju też dba o czystość. To dobry człowiek, ostatnio jak byłam chora, to nawet za mnie sprzątał i ugotował mi coś.*

Janina od roku nie ma wody, nosi ją od sąsiadów. T*o jest skandal, inni w bloku nie płacą już kilkanaście lat, a im nie odcięli, a mnie tak. Nie wiem, dlaczego, chyba tak po uważaniu zrobili… - złości się kobieta. Mało, że mi komornika nasłali, to jeszcze wodę odłączyli. A z czego mam płacić. Mam rentę …i to na leki idzie.*

Ksiądz tu był po kolędzie i pytał w czym pomóc. On wie, co tu się dzieje. Nawet sam pytał o drogę. Widziała pani – jest fatalna. Wieczorem nigdzie nie wyjdę, bo i ciemno i dziury, jak się połamię to grozi mi śmiercią, bo mam zaawansowaną osteoporozę.

Fot. Agnieszka Młyńczak

Tęskni za Rzemieślniczą, bo choć było jak było, ubikacja na korytarzu i cieknący sufit, to jednak sklep blisko i inni ludzie wokół. *Tu pani pomieszali patologię z normalnymi ludźmi* – mówi. Bo Janina ma problem z sąsiadami. Na górze wciąż odbywają się libacje. J*ak dostaną pieniądze z opieki, to rządzą, piją kilka dni, potem chodzą i dziadują* – dodaje. Czasem chodziła i uspakajała mężczyzn. Ostatnio, kiedy zmogła ją choroba, nie miała sił, by wstać i interweniować. Zadzwoniła po policję. Sąsiedzi się uspokoili, ale ona ma teraz wezwanie na przesłuchanie. Na szczęście mężczyźni nie czują urazy. Nawet kłaniają się na korytarzu. Zresztą policja jest tu często. To już nikogo nie dziwi.

Mieszkanie Barbary

Nieopodal Janiny mieszka Barbara z mężem i dziewięciorgiem dzieci. Mają do dyspozycji całe mieszkanie dwupokojowe. Nie dzielą go z nikim, bo jak? Barbara pokazuje mi ściany w pokoju. Wyglądają jakby ktoś drążył w nich miniaturowe jaskinie. Tak wilgoć żżera regipsy. Nic z tym nie jest sama w stanie zrobić. Zgłaszała do urzędu, byli tu pracownicy. *Byli, patrzyli, kazali pisma napisać, pisałam - mówi Barbara. Ale zanim nowy burmistrz zapozna się z tym, to minie czas* – dodaje rozżalona. Ta wilgoć to z tego, że w mieszkaniu przez kilka lat nie było palone, bo właściciel siedział w więzieniu. Jak my tu przyszliśmy, to już nie dało się zrobić – wyjaśnia kobieta.

Dwa pokoje to zdecydowanie za mało dla jedenastu osób. Dzieci mają od 9 miesięcy do 15 lat. Każde z nich ma swoje potrzeby i wymaga przestrzeni. Niestety, jest jak jest. Barbara i tak jest zadowolona, że każde z dzieci ma swoje miejsce do spania.

Jeszcze przed trzema laty Barbara z mężem i dziećmi mieszkała na Piłsudskiego, ale zadłużyli mieszkanie, więc zostali eksmitowani. Teraz spłacają zaległe rachunki i ponoć mają szansę na mieszkanie komunalne. Żyją tą nadzieją. Chcą się stąd wyrwać, bo choć i tak mają tu luksus, czyli całe mieszkanie dla siebie, to nie czują się bezpiecznie. Atmosfera między sąsiadami, oględnie mówiąc, nie jest najcieplejsza. Jak z tym żyć? Najlepiej nie odzywać się do nikogo i zajmować się sobą.

Dzieci z Łąkowej

Te dzieciaki jak wyjdą przed blok, to tylko słychać k.. i ch… Palą papierosy i się wyzywają. A rodzice siedzą na schodkach i piją. To co te dzieciaki mają myśleć? Że to normalne – mówi jeden z mieszkańców bloku. No tak, dzieci w tym bloku jest około trzydzieścioro.

Fot. Kajetan Kukla

Co mają tam robić? Wychodzą przed blok i stoją. *Nuda, człowiekowi nie chce się nawet iść do miasta, bo tak daleko.*

Młodsze dłubią w tynku dziury. Starsze, silniejsze i bardziej wyrośnie odegną tabliczkę z numerem bloku, niewyżyte plastycznie, ozdobią ściany klatki schodowej. Przed blokiem jest boisko. Jednak gra w piłkę to częstokroć brodzenie w kałużach i błocie, bo nawierzchnia zmienia swoją konsystencję wraz ze zmianą aury.

Jeszcze niedawno tam, gdzie stoją teraz komórki, był plac zabaw dla najmłodszych, ale został zdemontowany, a nowego nie ustawiono. *Chyba urzędnicy zapomnieli, bo przecież obiecywali wcześniej* – mówią mieszkańcy.

Dzieci z Łąkowej nie mają pod górkę, dzieci te mają drogę z wybojami. Nie tylko w sensie dosłownym. One, z racji chodzenia do szkoły, częściej niż dorośli muszą konfrontować się z tym „normalnym" światem, z ludźmi z miasta Jak ich traktują rówieśnicy ze szkoły? *Wołają na nas tajwaniaki. Mówią, że się nie myjemy* – mówi Dominika. Dziwię się, patrząc na zadbaną, normalnie wyglądającą nastolatkę: *przecież wyglądasz czysto. Tak, ja wiem, ale oni tak o nas mówią – dodaje ze łzami w oczach. Wyzywają nas, nikt się z nami nie chce kolegować*. A po chwili stwierdza: *Po prostu wstyd tu mieszkać.*

Iwona Pawłowska

Dziękuję za pomoc
Agnieszce Młyńczak i Kajetanowi Kukli

Wodomierz główny w starym budownictwie

Główna wina wodomierza

Chciałabym z panem porozmawiać na temat sposobu rozliczania pobranej wody. Głównie chodzi o różnice pomiędzy odczytem z wodomierza głównego a licznikami w naszych mieszkaniach.

Prezes Zarządu Rejonowego Przedsiębiorstwa Komunalnego Damian Klicki:
Podstawową przyczyną rozbieżności pomiędzy wskazaniem wodomierza głównego a sumą wskazań wodomierzy w pojedynczych lokalach jest różna dokładność pomiaru poszczególnych wodomierzy. Wynika to z klasy i jakości tychże urządzeń. Również przecieki instalacji wewnętrznej budynku oraz nielegalny pobór wody mają wpływ na powstawanie różnic. Inna przyczyna wynika ze sposobu montażu wodomierzy w mieszkaniach. Powinien być on zamontowany poziomo (zegarem do góry). Niestety, w większości wypadków nie są one tak montowane.

To dlaczego fachowcy montują je inaczej?
Czasem nie ma możliwości technicznej, aby montować je prawidłowo.

Gdyby użytkownik mieszkania wiedział, że przy nieodpowiednim zamontowaniu będzie płacił za nadwyżki wody to z pewnością stanąłby na głowie, żeby zainstalować ten wodomierz prawidłowo. W części mieszkań w starym budownictwie wodomierze zamontowane są pionowo, nie poziomo.
Każdy przypadek należy traktować indywidualnie. Niekiedy próba zamontowania wodomierza poziomo wiąże się z koniecznością wymiany instalacji wodnej, a to już spory wydatek finansowy, jaki musi ponieść użytkownik lokalu. Ważną kwestią jest również montowanie wszystkich wodomierzy w budynku w ten sam sposób.

Przecież ci monterzy legitymowali się nam swoimi uprawnieniami. Czy to znaczy, że zostaliśmy oszukani przez fachowców montujących wodomierze?
Ja bym tego tak nie nazwał…

Proszę powiedzieć, kto zakłada wodomierz główny?
Koszty instalacji, utrzymania oraz wymiany wodomierza głównego ponosi Spółka.

Na chwilę obecną 80 % wodomierzy posiada ważną cechę legalizacji, natomiast pozostałe 20 % wodomierzy zostanie wymienionych do końca 2015 r. Odpowiedzialność za wodomierze znajdujące się w lokalach ponoszą użytkownicy tych lokali. To na nich spoczywa obowiązek wymiany wodomierzy, które straciły legalizację, czyli okres użytkowania.
I teraz przykład: wodomierz główny wykazał zużycie wody 100 metrów sześciennych, a podliczniki wykazały 90 metrów sześciennych. Jest różnica, prawda? Ktoś za tę różnicę musi zapłacić. O sposobie rozliczenia strat wody w budynku decyzję podejmują właściciele.

Właśnie! Jestem w posiadaniu odpowiedzi na interpelację poselską przez podsekretarza stanu Piotra Stycznia z 2011 r. W tym dokumencie podsekretarz mówi, że to zarządca budynku wybiera metodę rozliczania różnic między wodomierzem głównym a sumą wodomierzy w lokalach. O tejże metodzie powinni zostać poinformowani użytkownicy mieszkań. Zarządca powinien przedstawić im REGULAMIN ROZLICZEŃ WODY. Nie widziałam takiego regulaminu.
Ja to sprawdzę.
Jeśli się okaże, że nie ma takiego regulaminu, to co pan, panie prezesie, zadeklaruje? Może chęć naprawienia tego?

Wodomierz główny w nowym budynku z nakładką do odczytu radiowego

Na pewno powiadomimy o sposobie rozliczania użytkowników lokali do końca przyszłego kwartału. Już to zapisuję, aby nie zapomnieć.

Panie prezesie, są mieszkania, w których nie ma podliczników.
RPK zarządza 275 wspólnotami, które w różny sposób rozliczają straty w poborze wody. W większości przypadków regulaminy wspólnot określają, że straty przerzucane są z automatu na ryczałtowców (tych, którzy nie mają wodomierzy w mieszkaniach – przypis autorki) lub użytkowników nie posiadających wodomierzy z ważną cechą legalizacji.

Do kogo ma się zwrócić użytkownik mieszkania, który nie jest właścicielem, a faktura za wodę wzbudza kontrowersje?
Do podmiotu, który wystawił fakturę.

Tenże przywołany wcześniej podsekretarz stanu napisał w odpowiedzi na interpelację, iż zastrzeżenia użytkowników lokali co do rozliczeń wody przez zarządcę mogą być rozstrzygane wyłącznie na drodze sądowej. Tak jest?
W naszym przypadku staramy się unikać tego rodzaju rozstrzygnięć. Dotychczas udaje nam się osiągać porozumienie na drodze dialogu naszych pracowników z użytkownikami lokali.

Wspominał pan o akcji montowania liczników radiowych.
Chcę powiedzieć, że ruszamy z akcją radiowego odczytu wodomierzy. Z początkiem drugiego kwartału będziemy przekonywać użytkowników lokali do wymiany wodomierzy, które są przystosowane do zdalnego odczytu. Pozwoli to na minimalizowanie różnic poprzez dokonanie odczytu wszystkich wodomierzy znajdujących się w budynku w ciągu jednej, dwóch minut. Obecnie opomiarowanie takie posiada 15 budynków, w których poprzednio straty (różnice) sięgały – w cyklu dwumiesięcznym – od 20 do 100 metrów sześciennych. Podczas odczytu radiowego różnice w większości z nich spadły prawie do zera.
Przygotowujemy szeroką akcję informacyjną pt. *Dlaczego opłaca się zamontować wodomierz radiowy?* Szacuję, że całkowity koszt wymiany jednego wodomierza wyniesie średnio około 130 zł. Dopuszczamy możliwość rozbicia tej kwoty na raty. O naszej akcji chcemy poinformować mieszkańców w lokalnych mediach.

Kiedy mieszkania pod waszym zarządem będą miały wodomierze radiowe?
To zależy od wspólnot, jeśli podejmą stosowne uchwały. Jednak cała akcja wymiany wodomierzy może potrwać około trzech lat.

Co chciałby pan na koniec powiedzieć użytkownikom mieszkań zarządzanych przez RPK, jeśli chodzi o podliczniki wody?
Uważam, że jak najszybciej wszyscy powinniśmy przejść na system zdalnego (radiowego) odczytywania zużycia wody. Jednak ma to sens jedynie wtedy, gdy takie liczniki zostaną zamontowane w całej nieruchomości, łącznie z wodomierzem głównym. Poza tym chciałbym zaapelować o konieczności legalizacji wodomierzy w lokalach. Gdy wodomierz główny w budynku jest legalizowany, a indywidualny w lokalu nie, to w większości przypadków użytkownik ponosi zwiększone opłaty wynikające z różnic w odczytach.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała i wodomierzom zdjęcia robiła Agnieszka Młyńczak

Goldberg w oczach Polaków sprzed I wojny światowej

Marcin Bielski - autor najstarszej polskojęzycznej informacji o Złotoryi

Przed I wojną światową podstawowym sposobem utrwalania i przekazywania informacji było słowo drukowane: książka i czasopismo. Pierwsze informacje o Złotoryi pojawiły się już na pocz. XIII w. Były to jednak teksty w języku łacińskim i, nieco później, w języku niemieckim. Wzmianki w języku polskim zaczęły się ukazywać dopiero od końca XVI w. I to właśnie te publikacje stanowiły dla nas materiał badawczy, na podstawie którego spróbowaliśmy oszacować w przybliżeniu, co wiedzieli o Złotoryi Polacy. W sumie od 1596 r. do 1914 r. ukazało się sto kilkadziesiąt publikacji zawierających informacje o Złotoryi. Na tle wydawnictw z tego okresu nie była to duża ilość. W tym czasie bowiem ukazało się kilkaset tytułów czasopism oraz tysiące książek. Dla Polaków z tego okresu Złotoryja nosiła nazwę *Goldberskie Gory, Złotagóra, Złotogórze, Złotów, Złotorya, Golperk, Goldberg* lub *Złotoryj* i była obcym miastem, które przestało należeć do Polski już w 1335 r.

Najstarszy tekst o Złotoryi odnaleziono w Kronice Bielskiego. Przy okazji szczegółowego opisu bitwy pod Legnicą z Tatarami w 1241 r. kronikarz zapisał: *[...] a ci byli z różnego narodu, do których się przyłączyli Gornicy z gor Goldberskich: nad tymiż wszystkim był przełożony Bolesław Dypolda, Morawskiego Margrabie syn.* (Bielski, Kronika Polska, Kraków 1597, s. 167). Tylko rok później ukazała się najstarsza wzmianka polskojęzyczna sławiąca Valentego Trozendorfa i jego gimnazjum. Autorem był Erazm Gliczner, dawny uczeń szkoły złotoryjskiej, który na starość wspomniał swój pobyt w mieście: *[...] Były zacne szkoły i w nich nauczyciele zacni, święci, tuż nad Polską osobliwie w Golperku, gdzie on zacny Doktor Valentin Trocendorph Preceptor mój szczęśliwie uczył. Z którego nauki Polska wszystka prawdą Bożą jest oświecona, zamnożona, a napełniona* (E. Glicznera, Apellatia, Królewiec 1598, s 32). Bitwa pod Legnicą i Valenty Trozendorf to najczęściej występujące motywy złotoryjskie w polskich opracowaniach sprzed I wojny światowej.

Temat był tak często powtarzany, że Jan Matejko - największy polski malarz historyczny, nawiązał w swoich obrazach do górników złotoryjskich oraz do gimnazjum Trozendorfa. W objaśnieniu do obrazu Klęska legnicka - Odrodzenie z 1888 r., artysta podał: *W ciżbie natłoczonego kościoła występują z garstki rycerzy na lewo zbiegli z pola bitwy […] a na prawo, za Konradem, jego druh Żegota i górnicy Goldberga* (J. Matejko, Wyjaśnienie dwunastu szkiców, Kraków 1889, s. 17). Natomiast na obrazie Wyjście żaków z Krakowa w 1549 r., malarz utrwalił scenę wyjścia oburzonych studentów krakowskich za granicę. Z licznych tekstów wiemy, że najwięcej żaków dotarło wtedy do Złotoryi: *Przeważna część wychodźców skierowała się do będącego niejako częścią Polski Śląska, gdzie kwitła wówczas w Goldbergu sławna szkoła pod kierunkiem Frankendorfa, najznakomitszego z uczniów Melanchtona. Był to już od dawna przez polskich studentów ulubiony zakład* (W. Krasiński, Zarys dziejów powstania i upadku reformacji w Polsce, T. I, Warszawa 1903, s. 102).

Polskie opisy Trozendorfa i jego szkoły są fascynujące. Oprócz pełnych zachwytu hagiografii typu: *Trozendorf był królem, był Bogiem śród młodego świata i otaczała go do koła cześć i miłość nadziemska. Ktokolwiek w drugiej połowie szesnastego wieku uchodził za uczonego człowieka, był wychowańcem goldberskiej szkoły* (B. F. Trentkowski, Chowana, t. II, Poznań 1846, s. 843), możemy znaleźć też teksty krytykujące naszego największego złotoryjanina: *Słynął ci w czasie swoim Trozendorf, który uczniom swoim zakazywał macierzyńskim mówić językiem. Postępował w przewrotnem dążeniu swoim tak daleko, że się chlubił: szkolnicy moi są, niemi w języku przyrodzonym, hańba jest mówić mową przyrodzoną, a nawet czeladź miasta naszego Goldbergu mówi po łacinie. Lecz owoce przewrotności jego znikły wraz ze śmiercią jego* (K. Miarka, Gwiazdka Cieszyńska, 1865, s. 16).

Wśród ogromnej liczby opracowań historycznych, Złotoryję odnajdziemy m. in. w Starożytnościach Polskich: *[...] leży nad rzeką Katzbach, na wyniosłości i między górami. Nazwisko swe wzięło od kopalni złota, które tutaj niegdyś znajdować się miały. Kronikarze szlęscy mówią, iż około roku 1210 wydobywano w Goldbergu co siedem dni 150 funtów złotego piasku, z którego funt jeden zawsze radzie miejskiej składano. [...] Fryderyk II, ks. na Lignicy i Brzegu, założył tu r. 1523 w starym i spustoszałym klasztorze Franciszkanów sławne gimnazjum, które w późniejszych czasach całkiem upadło. R. 1554 dnia 17 lipca miasto powiększej części zgorzało* (J. Moraczewski, Starożytności Polskie, T. 1, Poznań 1842, s. 325). Mamy też liczne wzmianki o najeździe husytów na miasto: *Taboryci [...] wyruszyli w sile potężnej (18000) ku Łużycom, oblegli Żytawę, zdobyli Lubań w Gorlickiem, spalili Löwenberg w Jaworzyńskiem, spustoszyli Goldberg w Legnickiem* (A. Prochalska, W czasach husyckich, [w:] Rozprawy Akademii Umiejętności, seria II, t. XI, Kraków 1897, s. 228). Czy wreszcie dysponujemy rzadką relacją korespondenta, który przybył w sierpniu 1813 r. nad Kaczawę i wysłał do Wilna tzw. doniesienia od wojska: *[...] doścignęła nieprzyjaciela blisko Lignicy i w tej rozprawie ubiła mu kilkaset ludzi, a sześciu oficerów i 200 żołnierzy wzięła do niewoli [...]. Główna kwatera wojska szląskiego była w Goldbergu. [...] Utarczka brygady księcia Maklemburskiego, w dniu 23 sierpnia pod Goldbergiem, może liczyć za jedną z najwyższych w tej kampanii. Przewyższający ogień nieprzyjacielskiej artylerii pozbijał niektóre nasze działa, i znaczny uszczerbek w piechocie czynił. [...] Korpus Lauristona zajmował stanowiska pod Goldbergiem, awangarda jego była pod Prausnitz, korpus Macdonalda stał za Goldbergiem, a korpus Neya przy Rotkirch i w okolicach Lignicy* (Kurier Litewski, Wilno 1813, t. 68, 71, 72).

Założyciel Tomaszowa Mazowieckiego przedstawił natomiast sposoby organizowania przemysłu sukienniczego w swoim mieście z udziałem złotoryjan: *W przedzalniach dziewczynki ośmioletnie, zarabiały dziennie po 1 zł i więcej, dorośli od 1,5-2 zł i więcej. [...] Dla uchwycenia od razu tej doskonałości sukiennictwa, jaką się kunszt ten wsławił w krajach najcywilizowańszych, jakim [...], niektóre miasta Saksonii jako: Gorlitz, Goldberg - starałem się od razu o sprowadzenie najwyborniejszych z tamtych stron fabrykantów, werkmajstrów, entreprenerów przędzalni, mechaników i do budowania machin nieodzownie potrzebnych biegłych rzemieślników* (A. J. Ostrowski, Pomysły o potrzebie reformy towarzyskiej, Paryż 1834, s. 155).

Wiele interesujących informacji podają też opisy geograficzne. Najwcześniej miasto zostało wspomniane jako Goldberga w dokumencie polskojęzycznym króla Prus Fryderyka Wielkiego z 1750 r. (Wznowione powszechne taxae-stolae, Berlin 1750, s. 2). Kolejną wzmiankę możemy odnaleźć w Dykcjonarzu: *Goldberg, Goldberga, Aurimontium, miasto szląskie w księstwie lignickim, nad rzeką Katzbach* (Dykcjonarzyk geograficzny, Warszawa 1782, T. I, s. 244). Natomiast w Jeografii Szląska podano: *Złotoryj nad rzeką Kacbach, obfitującą w pstrągi (rodzaj ryb małych, po niemiecku forelami zwanych). Miasto to stare, miało w dawnych wiekach znaczne kopalnie złota. Obecnie słynie dla fabryk sukienniczych, ma przeto folusz wielki i wiele fabierni. Ludność jego przechodzi 7000* (J. Lompa, Krótki rys Jeografii Szląska dla nauki początkowej, Głogówek 1847, s. 17). I wreszcie, najobszerniejszy - dwustronicowy opis geograficzny miasta dostarcza Słownik Geograficzny: *Złotogóra, także Złotorya, niem. Goldberg, w dok. z 1201 Aurum, miasto powiatowe w reg. lignickiej, na Szląsku pruskim, na prawym brzegu rz. Kacbachy (lewy dopływ Odry), u stóp Wilczej Góry (Wolfsberg). W 1842 r. było miasto jeszcze otoczone murem a w części wałami i fosą: miało 4 bramy i trzy furty. Obecnie miasto posiada kościół parafii ewangelickiej, kościół parafii katolickiej, szkoły, liczne fabryki sukna, przędzy wełnianej, fabrykę soków owocowych, zakład budowy machin, urząd powiatowy, urząd stanu cywilnego, urząd pocztowy [...]* (Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, XIV, Warszawa 1895, s. 636-637).

W Kwartalniku Historycznym ukazała się recenzja książki Luisa Sturma, Geschichte der Stadt Goldberg. Jedno z najlepszych opracowań do dziejów miasta zostało krytycznie przedstawione przez A. Wagnera: *Autor powyższej książki, którą całkiem niesłusznie historią nazwał, a w której w nierównych ustępach Goldberg pod panowaniem piastowskich książąt, pod austryjackiem i pod pruskiem przedstawia, jest pouczającym przykładem, jak nie należy pisać historii [...] Książka ta jest bezmyślnym i niekrytycznym zlepkiem, powtórzeniem wiadomości, jakie ogłosił liczny szereg dawnych szląskich kronikarzy o nierównej wartości o Goldbergu przeważnie z dosłownem przytoczeniem rozwałkowanych, nawet dla lokalnej historii zbędnych, nieważnych rzeczy, których nie należało wydzierać zapomnieniu, na jakie zasługują [...]* (Kwartalnik Historyczny, R. II, Lwów 1888, s. 464)

Co wiedzieli o Złotoryi Polacy? W dostępnych opracowaniach mogli przeczytać o historii miasta, lokacji i nadaniu praw, wydobyciu złota, przemyśle sukienniczym, udziałowi górników w bitwie pod Legnicą, najazdach husytów, bitwie nad Kaczawą oraz działającym w mieście gimnazjum. Znali też polskich uczniów gimnazjum: Erazma Glicznera, Rafała Leszczyńskiego, Andrzeja Leszczyńskiego, Hieronima Bużeńskiego, Michała i Mikołaja Jazłowieckich. Sporo wiedzieli też o Henryku Brodatym, Henryku Pobożnym, św. Jadwidze oraz Valentym Trozendorfie. Mieli też dostęp do opisów geograficznych miasta, Kaczawy, Wilczej Góry oraz Śląska.

Informacje o Złotoryi były umieszczane przede wszystkim w książkach historycznych, geograficznych, pedagogicznych, pamiętnikach, zbiorach korespondencji, herbarzach, encyklopediach, słownikach i czasopismach. W sumie ukazało się od końca XVI w. do 1914 r. ponad sto wzmianek polskojęzycznych o Złotoryi. Nie sposób wymienić w tym miejscu tych wszystkich opracowań i artykułów. Dlatego przedstawiono tylko wybrane, najbardziej reprezentatywne przykłady.

Należy pamiętać, że dostęp do tych informacji był wtedy mocno ograniczony: książki były drogie, sieć bibliotek skromna i ok. 50 % Polaków nie potrafiło czytać. Obecnie są to publikacje zapomniane i słabo wykorzystywane. W bibliografii zamieszczonej w *Dziejach Złotoryi* - najobszerniejszej monografii miasta, podano jedynie dwie pozycje polskojęzyczne sprzed 1914 r. Najlepszym sposobem na wprowadzenie tych materiałów do obiegu byłoby przeprowadzenie kompleksowych badań zakończonych opracowaniem *bibliografii polskojęzycznych publikacji poświęconych Złotoryi (od XVI w. do 1945).*

Źródło ilustracji: Marcin Bielski, [w:] Tygodnik Ilustrowany 1880, nr 216, s. 105.

* Niniejszy tekst (wzbogacony o prezentację multimedialną) został wygłoszony przez autora 17 października 2014 r. podczas konferencji: *Ziemia złotoryjska podczas pierwszej wojny światowej*

Damian Komada

Caspar Peucer w Złotoryi

W styczniu 2015 r. minęło 490 lat od urodzin Caspara Peucera (6 stycznia 1525 r. - 25 września 1602 r.) - rektora Uniwersytetu w Wittenberdze, profesora matematyki i medycyny, osobistego lekarza elektora saskiego, dyplomaty, geodety, astronoma, teologa, historyka, tłumacza i poety, uważanego za najbardziej uczonego z uczonych. Prywatnie zięcia i powiernika Filipa Melanchtona - *Nauczyciela Niemiec* i współtwórcy religii luterańskiej.

Caspar Peucer był cudownym dzieckiem. W miejskiej szkole w Budziszynie robił tak zadziwiające postępy, że już w wieku 10 lat został przeniesiony do Gimnazjum Humanistycznego w Złotoryi (1535-1540), najlepszej uczelni w tej części Europy. Tam jego wychowaniem i nauką zajął się sam rektor Valenty Trozendorf.

Niestety, utrata metryk studenckich utrudnia proste sprawdzenie obecności chłopca w złotoryjskiej szkole. Także dostępne opracowania biograficzne niewiele wnoszą, bo zawierają jedynie króciutkie wzmianki. Udało się jednak dokopać do źródeł, które dostarczyły nieco więcej szczegółów. Są to teksty mało znane, trudno dostępne, i w takim zestawieniu, w celu wykazania powiązań ze Złotoryją, jeszcze nie były publikowane.

Do najważniejszych należy zaliczyć bezpośrednie relacje Peucera. W oracji pochwalnej z 1562 r., tak scharakteryzował swojego wychowawcę Trozendorfa: *Nie brakowało przy tym nauczycielowi stosownej wobec nas surowości, jednakże bez ponuractwa i jakiegoś osobliwego dziwactwa; i godnej podziękowania życzliwości, dostosowanej do naszego wieku. Wspaniałej zręczności w wykładaniu tego, czego należało się nauczyć. Tak nią kierował, że zniżał się do poziomu rozumienia i dostosowywał do możliwości pojmowania poszczególnych uczniów [...]. Przeto, chociaż baliśmy się go, lękaliśmy i szanowaliśmy jako nauczyciela, jednak kochaliśmy go i wielbiliśmy jak ojca.* Również w pamiętniku *Historia Carcerum* wspomniał: *Poza tym, co mnie spotkało od nauczycieli w rodzinnym kraju, najlepszymi z ludzi było dla mnie dwóch nauczycieli za granicą, mężowie najwybitniejsi, pierwszy Valentin Friedland Trozendorf ze Złotoryi oraz po nim kolejny Filip Melanchton z Wittenbergii, których sytuuję za Boże dary i wieczne korzyści, na pierwszym miejscu wśród wszystkich znakomitych ludzi.*

Posiadamy też informacje z drugiej ręki. Ciekawym źródłem jest list Georga Bersmanna do księcia brzeskiego Joachima Fryderyka z 1590 r.: *I wielką przyjemnością było dla mnie kilka razy słyszeć o godnym sławy kierownictwie tego gimnazjum, od jego dawnego wychowanka, Caspara Peucera, męża zgoła jedynego w swoim rodzaju, o zauważalnej pobożności, wiedzy, mądrości i o ogromnej znajomości najwspanialszych rzeczy. Nic tak bardzo nie rozweselało Peucera, gdy o czymś opowiadał, niż wspomnienie pierwszych występów ze swojej młodości i kar, na które zasłużył na służbie dla dobrej literatury u Trozendorfa. Peucer, [...] oprócz tego jako jedyny kierował sprawami współtowarzyszy dzięki swojej mądrości, pracowitości i powadze. Niejeden raz ów mąż dla mnie, w przyjacielskiej rozmowie, tę swoją pomyślność sławił [...].* Tekst dowodzi m. in., że chłopiec z racji swoich niezwykłych uzdolnień był wybierany do zarządu szkolnego oraz na urząd konsula - zwierzchnika wszystkich uczniów Gimnazjum Humanistycznego w Złotoryi.

Związki Peucera ze Złotoryją nie skończyły się jedynie na pobycie w szkole. Już jako student na Uniwersytecie w Wittenberdze, potem profesor i rektor tej uczelni oraz wpływowy zięć Melanchtona, pozostawał w kontakcie ze złotoryjanami i chętnie służył swoją pomocą.

Dysponujemy listem Trozendorfa, który potwierdza zaangażowanie Peucera w sprawy miasta. *Złotoryja 20 marca 1546 r.: Najświetniejszemu mężowi wysławionemu cnotą i mądrością Panu magistrowi Casparowi Peucer z Budziszyna, profesorowi na Uniwersytecie Wittenberskim, wielce drogiemu przyjacielowi. [...] Największe ja tobie składam podziękowania, mój drogi Panie Casparze, za twój list, w którym o wielu rzeczach, napisane masz dokładnie [...]. Tymczasem o moim własnym wyjeździe, do którego uprzejmie mnie zachęcasz, wkrótce ciebie poinformuję na piśmie. A teraz u ciebie w szczególności zabiegam, jako naszemu urzędowi oddającemu swe usługi stosowne w poszukiwaniu męża uczciwego i uczonego, który potrzebny jest do przedstawienia na stanowisko pedagoga na zamku księcia [...].*

Duże wrażenie robi też list pocieszający Melanchtona, wysłany po wielkiej epidemii dżumy z 1553 r., w której życie straciło 2500 złotoryjan a większość nauczycieli i uczniów uciekła z miasta. *Wittenberga, poł. 1553 r.: Panu Trozendorfowi, bratu swemu najdroższemu, najświetniejszy mąż i najdroższy brat. Spodziewam się, że wkrótce, z Bożą pomocą, wasze mrowisko zbierze się ponownie. W międzyczasie życzyłbym sobie, abyś był ze mną w domu moim, zanim Bóg przyzna nam Halikonie [spokój]. Każdemu z dwóch rozmowa przyniesie ulgę. Wiesz bowiem, że słusznie się mówi: starzec dla starca ma najmilsze słowo, chłopiec dla chłopca, dla kobiety nadobna kobieta, mąż chory dla chorującego [...]. Mamy nadzieję, że Syn Boży zachowa swą łódź również i wtedy, gdy państwa upadają. Ożywiajmy się takim pocieszeniem. Również mój zięć [Peucer] modli się, abyś do nas przybył. Odbędziemy wtedy uczty połączone z dyskusjami [...]. Peucer zaraz po ślubie w 1550 r. zamieszkał w domu teścia i wszystko wskazuje, że był obecny podczas pisania tego listu.*

Wiemy też, że Caspar miał swój udział w zbiórce pieniędzy dla spalonej 17 lipca 1554 r. Złotoryi. Jego teść Melanchton wezwał wtedy społeczność Wittenbergii do przekazywania datków dla biednych rodzin złotoryjskich: *Wdzięczni miastu Złotoryja złóżmy ofiarę za wieloletnią opiekę Kościoła Bożego i Szkoły, w których nauczanie Kościoła nadzwyczaj wiernie i najszczęśliwej rozsiewał wielce uczony mąż nieposzlakowanej opinii, nasz drogi brat Pan Valentin Trozendorf. Wiadomo, iż jest wielu w tej Akademii, którym Trozendorf zapoczątkował miłości do nauki i wobec którego miasto pozostaje w uniżonej wdzięczności [...].*

Nie ma wątpliwości, że pobyt w Złotoryi i nauka w miejscowym gimnazjum ukształtowały Caspara Peucera. Ten wybitny przedstawiciel humanizmu niemieckiego zawsze podkreślał, że ma dług wdzięczności wobec miasta. Dług wdzięczności ma jednak i Złotoryja wobec niego. To on przecież wystawił swojemu nauczycielowi i szkole najwspanialszy pomnik literacki: pełną ciepła *Mowę o życiu i zarządzaniu szkołą przez Valentego Trozendorfa (1562).* Tekst ten jest najważniejszym źródłem informacji o rektorze i jego gimnazjum. Wszystko, co najistotniejsze napisano na ten temat, jest tylko powtórzeniem tego, co napisał w swojej dwudziestostronicowej oracji Peucer. Wychowanek Trozendorfa zdołał ponadto zabezpieczyć i potem opublikować listy i przemowy swojego teścia. W ten sposób, została uratowana m. in. korespondencja Melanchtona wysyłana do przyjaciół w Złotoryi oraz ta wysyłana w sprawie Złotoryi do książąt legnicko - brzeskich i innych wybitnych osobistości w całej Europie. W sumie zawdzięczamy mu ocalenie kilkunastu listów złotoryjskich, które są bezcennym źródłem informacji o mieście. Z tych materiałów, mogli potem skorzystać najwięksi kronikarze i dziejopisarze Złotoryi: Caspar Wenzel, Carl Wilhelm Peschel, Luis Sturm, Gustav Bauch oraz Johannes Grünewald.

Izba w domu Melanchtona i Peucera w Wittenberdze. Przy biurku powstawały listy wysyłane do przyjaciół w Złotoryi

Źródła: Orationum quas reverendus vir Dominus Ph. Melanchthon, T. V, hrsg. C. Peucerus, Wittebergae 1572, s. 817-841; C. Peuceri, Historia Carcerum [...], Tiguri 1605, s. 36; Scriptores Rerum Lusaticarum, Lipsia 1719, s. 437; Publii Ovidii Nasonis [...], T. IV, Amstelodami 1727, s. 149; K. E. Förstemann, Neue Mitteilungen [...], Bd. 1, h. 4, Halle 1834, s. 136; G. Bauch, Aus dem Hausbuche des Goldesberger..., Grass 1907, s. 32; G. Bauch, Valentin Trozendorf und die Goldberger Schule, Berlin 1921, s. 109.

Ilustracje: Caspar Peucer, rys. Lucas Cranach (ok. 1580 r.); Izba w domu Melanchtona - widokówka z 1910 r.

Damian Komada

Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych"

Serdecznie zapraszamy na obchody **Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych"**, ustanowionego na mocy ustawy w 2011 r.

W programie okolicznościowe wystąpienia, apel poległych, wieczornica w ZOKiR. Swój udział zapowiedziała Pani Poseł Elżbieta Witek.

Uczestnicy obchodów spotykają się w dniu 28 lutego o godz. 17.30 na skrzyżowaniu ul. F. Chopina i al. Miłej.

Środowiska patriotyczne Złotoryi

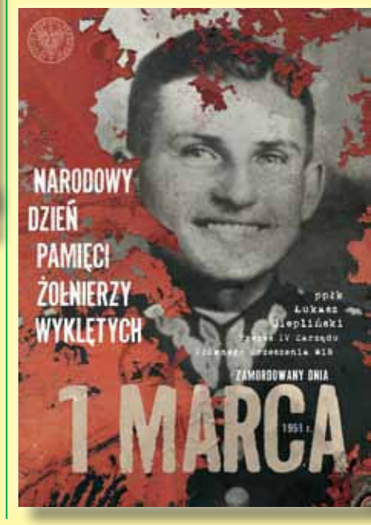

Warto przeczytać

Świat przyjaznych barw i wolnych ludzi

Eugeniusz Pożar zaskoczył chyba większość złotoryjan. Ilu z nas wiedziało, że poezja towarzyszy mu od kilkudziesięciu lat, a wybranie ponad dwustu utworów sprawi autorowi niemałą trudność? Pomógł Tadeusz Kozak, którego wkładu w ukazanie się książki nie sposób nie docenić.

W złotoryjskich Reminiscencjach dedykuje poeta wiersz Złotoryi w 790 rocznicę urodzin. Tam znajdziemy fragment:

Prowadziłaś przez życie
Jeszcze twą dłoń czuję
Doradzałaś
Ganiłaś
Nagradzałaś hojnie
Dlatego cię tak bardzo
Ma złota szanuję
Dałaś mi to co miałaś
Zechciej teraz przyjąć
Moją wdzięczność ogromną
Gorące uczucie...

Nie tylko dlatego podzielam słowa poety, że obaj zaangażowaliśmy się w tamten jubileusz w 2001 r.

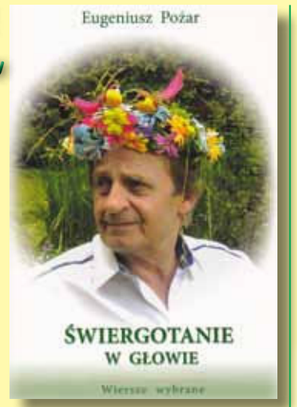

Chyba nikt nie napisał wiersza *Do mistrza Zygmunta Luksandra* i przypomniał Sławiana Trockiego *Po przeciwnej stronie czasu*.

Trzeba pochłonąć utwory z wszystkich części książki: i te zebrane po tytułowym Świergotaniem w głowie, w Reminiscencjach, dla Demetry i Wenus... Tylko jak stać się szczęśliwym posiadaczem tomu poezji Eugeniusza Pożara?

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Malownicza dolina Kaczawy

Na kolekcjonerach takie widoki ogólne miasta nie robią wrażenia. Wyjaśnijmy najpierw, że obie kartki zostały wysłane ze Złotoryi w 1915 r. a ich nadawcami byli żołnierze z tutejszego garnizonu. Jeden z nich np. uspokajał swoją siostrę, że służba jest całkiem przyjemna, drugi serdecznie pozdrawiał ukochaną, jednocześnie oczekując paczki. Jak widać, jesteśmy nadal „wiernie" tematyce pierwszowojennej. Dodać wypada, że obie fotografie wykonano najprawdopodobniej z hotelu w tzw. Kavalierbergu na stokach Góry Mikołaja (o którym trzeba przeczytać w „Echu" ze stycznia 2014 r.).

Chodzi jednak o coś innego: proszę przypatrzeć się terenom po obu brzegach Kaczawy, zwłaszcza pomiędzy rzeką a stacją kolejową. Naszym zdaniem, sto

lat temu można było powiedzieć, że wyglądały one naprawdę malowniczo i przyjemnie, nawet biorąc pod uwagę pracującą pełną parą fabrykę kapeluszy (późniejsze „Filce"). Kaczawa płynęła swobodnie od strony widocznych na horyzoncie Wzgórz Valentina Trozendorfa (nad dzisiejszym zalewem) i Góry Zamkowej z gmachem gimnazjum i wieżą ciśnień. Dzisiejsza uliczka Rzeczna (zwana przed wojną Sand (Piasek), a w latach 1945-1960 Świętej Kingi) prowadziła do mostku lub nieco bliższego Górze Mikołaja brodu. Cały teren był uporządkowany i zadbany.

Każdy złotoryjanin doskonale wie, jak obecnie wygląda ten fragment miasta. Może jedynie częściowo dojście do „Aurelii" robi jako takie wrażenie. Dróżka od mostku do stacji kolejowej „umarła" nie tylko dlatego, że nie kursują już pociągi pasażerskie. Jak się wydaje, nie ma pomysłu, co zrobić z tą częścią miasta.

Roman Gorzkowski
Robert Goździk

Historia jednej fotografii

Rozbiórka, a może wykopaliska?

W ubiegłym stuleciu, w różnych miejscach i w różnym czasie mogli złotoryjanie śledzić rozmaite przedsięwzięcia komunalne. Jaki fragment miasta przedstawia nasza fotografia? Z jaką inwestycją związane były uwiecznione na niej prace? Kiedy miały miejsce?

A może czytelnicy rozpoznają osoby oczekujące na nowoczesne środki komunikacji? Jeśli czytelnicy posiadają inne fotografie, dotyczące tego samego miejsca – z pewnością je zamieścimy.

Roman Gorzkowski

Komu przekażesz część swojego podatku za 2014 rok?

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 25 lat.
A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

1% - wielkie możliwości

Towarzystwo Miłosników Ziemi Złotoryjskiej,
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 KRS 0000124632

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2014 roku: doroczne spotkanie z Czytelnikami *Echa Złotoryi*, konferencja Franciszkanie w Złotoryi, konferencja Ziemia Złotoryjska podczas I wojny światowej, III Biesiada Kresowa, VII Złotoryjska Pielgrzymka Drogą św. Jakuba, VII Rajd Czterech Świątyń Jadwiżańskich, XIII Powiatowy Dzień Regionalisty, XVII Rajd Jadwiżański.

* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ECHO ZŁOTORYI
* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY
* KOŁO KRESOWIAN
* KLUB KOLEKCJONERA
* RAJDY I SZLAKI ŚW. JADWIGI ORAZ ŚW. JAKUBA

TO MIEJSCE
CZEKA NA TWOJĄ REKLAMĘ

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi

grysy bazaltowe
STONESPOL
* płukanki
* kolorowe
* posypki
* mączki

VITBIS
szklane bombki choinkowe

Osadkowski-Cebulski sp. z o.o.

COLAS Kruszywa

POAR Złotoryja

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hudrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212

GALERIA SPONSORÓW

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus"), tel. 76 8788137,
Internet: www.tmzz.pl, www.facebook.com/echo.zlotoryi, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Anna Chrzanowska (sekretarz redakcji), Roman Gorzkowski, Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Damian Komada (skład), Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski, Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Joanna Sosa-Misiak (redaktor naczelna)
Zdjęcie na okładce: Iwona Pawłowska, Widok na Wilczą Górę od strony Wilkowa
Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok